



DO CZYTANIA

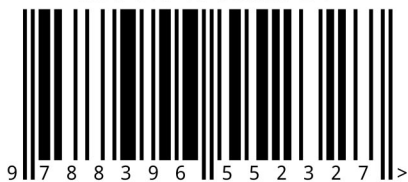
Czwarta antologia Stajni Literackiej SPP

Warszawska Szkoła Pisania
Stajnia Literacka SPP
<http://spp.warszawa.pl>
stajnia@spp.warszawa.pl



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

ISBN 978-83-965523-2-7



Do czytania

Do czytania

Czwarta antologia Stajni Literackiej
Warszawskiej Szkoły Pisania
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

© Copyright by Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Warszawa, 2023

Redakcję, projekt graficzny, typografię i skład
oraz recenzje wydawnicze wykonał
i wstęp napisał w darze dla Stajni Literackiej SPP
© *Piotr Müldner-Nieckowski*

Obraz na okładce
© *Anna Kulesz*

ISBN 978-83-965523-2-7

Warszawa 2023

Wydanie I
Wydawca



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

Druk: Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki, ul. Ciurlionisa 4, www.mcpdruk.pl

Nowa antologia naszej Stajni

To antologia **czwarta**. Powstała w 2023 r. jako dokumentacja Stajni Literackiej Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (OW SPP), istniejącej w ramach Warszawskiej Szkoły Pisania (WSP). Jesteśmy w sztuce całkowicie niezależni, wolni od zakazów, nakazów, narzutów, pęt artystycznych, ideowych czy politycznych z wyjątkiem tych ograniczeń, które wynikają ze zwykłej przyzwoitości i dekalogu. Każdy autor reprezentuje siebie.

Autorzy bowiem osobiście dostarczyli prace, które uznali za godne druku w tej publikacji. Stworzyliśmy w ten sposób wspólny tomik siłami społecznymi, bez żadnej pomocy finansowej, bez dotacji. Nikt tych utworów nie cenzurował, ale niżej podpisany ośmielił się przeprowadzić redakcję. Do druku nie zatwierdziliśmy tylko tych propozycji, które krańcowo nie nadawały się do upublicznienia ze względów językowych, etycznych i (albo) prawnych, ale także gatunkowych; nie uwzględniliśmy więc publikacji naukowych, dziennikarskich ani wspomnieniowo-historycznych, ale już teksty pieśni, piosenek, kolęd albo choćby gadanek dziecięcych czy satyr uznaliśmy za godne ogłoszenia. Układ alfabetyczny powoduje, że nikt nie jest wyróżniony. Raduje fakt, że wśród zamieszczonych tu prac jest kilkanaście naprawdę świetnych, po których przeczytaniu ręce same składają się do okłasków.

Minęło jedenaście lat od założenia w 2012 r. Warszawskiej Szkoły Pisania przez Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (OW SPP). Odbyło się równo 100 spotkań warsztatowych głównych i kilkanaście pokazowych, a także mnóstwo indywidualnych konsultacji kolegów ze Stajni z niżej podpisanym i innymi pisarzami zawodowymi z SPP. Pragnęli zasięgnąć konkretnych rad co do treści i stylu swoich tekstów, sposobu ujmowania zagadnień literackich czy promowania własnej twórczości, a także poprawności językowej i edytorskiej.

Grupa ongiś przyjęła nazwę „Stajnia Literacka SPP” i co miesiąc jako stado niekoniecznie źrebiąt, bo także całkiem wybieganych rumaków, spotyka się w zabytkowej sali na pierwszym piętrze Domu Literatury w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu 87/89. Jest to zespół dość liczny, ponaddwuosobowy. Spotkania w mniejszych grupach odbywają się w lokalu biurowym SPP, w Bibliotece Domu Literatury lub lokalu na parterze (wejście od ul. Senatorskiej), a w miesiącach ciepłych w różnych miejscach na Starym Mieście i nawet gdzieś w Polsce. Zdarzają się wspólne prezentacje w miasteczkach i na wsi. Na nasze imprezy duże (zawsze w ostatni wtorek miesiąca) coraz częściej przychodzą znani pisarze, kulturo- i literaturoznawcy, dziennikarze i osoby, które nie zawsze się przedstawiają, ale wytrwale słuchają naszych rozmów. Jedni chcą się raczyć dyskursem artystycznym, inni nawet włączać do niego i wcale nierzadko zasięgać opinii o własnych książkach i projektach.

Nasza Szkoła w 2017 roku została nominowana do Warszawskiej Nagrody Edukacji Kulturalnej – co podkreślono w werdykcie – nie tylko dzięki poziomowi merytorycznemu, ale także dlatego, że nie stawiamy uczestnikom żadnych wymagań organizacyjnych, ideowych ani finansowych. Wystarczy przyjść, zarejestrować się z nazwiskiem i adresem poczty elektronicznej, uważnie słuchać wykładów i brać udział w dyskusjach, prezentując przy tym swoje dzieła. Swoboda wypowiedzi na spotkaniach sprzyja ośmieleniu się tych, którzy nie są sobie pewni, nie wiedzą, czy mogą się publicznie ujawniać ze swoimi próbami. Wszyscy pilnują zasady, że obowiązuje nas wzajemna dyskrecja, ale kiedy jakiś utwór zostanie uznany za gotowy, dojrzały, to bańka pęka i robimy wiele, aby dowiedziała się o nim i jego autorze jak najszersza grupa ludzi z zewnątrz. Osobom, które się przełamały i zaczęły donośnie głosić swoje poglądy artystyczne, wyszło to na dobre, wbrew obawom okazały się ważną i pożądaną opiniotwórczą częścią środowiska. Powstały też grupy przyjaciół, które wspierają się nie tylko w zakresie twórczości.

Poprzednie tomiki, a były to *Coraz lepiej* (2012), *Co jest pisane* (2016) i *Piszemy* (2019), przedstawiają we wstępach naszą historię, jej skomplikowane zaplecze. Warto dziś podkreślić, że Stajnia wydała realny plon w postaci grona dwudziestu kilku osób przyjętych do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. To spora liczba, zważywszy na to, że przejście przez sito Komisji Kwalifikacyjnej i uzyskanie pozytywnej opinii Zarządu Głównego nie jest łatwe.

Serdecznej lektury!

prof. dr hab. Piotr Müldner-Nieckowski
opiekun Stajni Literackiej SPP
wiceprezes OW i wiceprezes ZG SPP

Henryk Ditchen

Satyriada

Pech modelki

Gdy zobaczyłam go, zadrżałam cała
Zapraǳnęłam i być z nim chciałam.
A on był swoją żoną zajęty
Wpatrywał się w nią jak w obrazek święty.

Po prostu skandal! Kipi we mnie złość!
Jakiś nieczuły, niewrażliwy gość.
Od razu widać, że jestem modelką,
I wkrótce okryję się sławą wielką.

Chociaż na sali jest kobiet masa,
To nie te wdzięki i nie ta klasa.
A jego żona... nijaka taka,
Szkoda jej nawet dawać buziaka.

On musi być mój, ostrzę pazurki,
Wymyślę dla niej straszne torturki.
Najpierw pobudzę zew jego krwi,
Idąc seksownie w kierunku drzwi.

A jej na suknię wyleję wino,
Kiedy się zajmie mokrą tkaniną
Jego odurzę, on da się uwieść
Więc zacamuję faceta na śmierć...

Złamał się obcas, gdy szłam kuszaco,
Splamiłam jemu spodnie niechcaco...
Ogarnął wzrokiem niezachwycony,
Padły obelgi od wścieklej żony...

Obcas złamany, boląca noga,
On patrzy na mnie tak jak na wroga.
Tacy są jednak wszyscy faceci!
Nie pomoże, a ...spodnie wyprać poleciał!

Niech nie wybawi się jemu plama!
Posiedzę w barze zjem ciastko sama.
Jak dym się rozwał czar uniesienia,
Siedzę i płacząc lecz to bez znaczenia.

Muchy i muszki

Na balu u starościny
Suknie, fraki, piękne muszki,
dostojnicy i dziewczyny,
uczta, tańce, pogaduszki.

U pań też króluje muszka,
taki pieprzyk na ich twarzy,
wśród kumoszek szept do uszka,
o kim każdej z nich się marzy.

Ktoś objada się przy stole,
na parkiecie różne ruchy,
jak w ukropie albo w smole
pary kręcą się jak muchy.

Amant lubi flirty, gierki,
jak do miodu lgnie do pań
i na oczach swej partnerki
daje popis celnych zdań.

Jeden w tańcu padł jak mucha,
więc tancerka przestraszona
usta w usta mu zadmucha,
aż zemdleje jego żona.

Inny znowu gość pod muchą
pragnie uwieść starościnę,
gdy częstuje ją siwuchą,
to w jej oczach widzi zimę.

Jemu wraz uśmiechy znikły,
ona miała muchy w nosie,
zawsze robi z igły widły,
ruga go ze złością w głosie.

Na czarusia siada mucha,
brzęczy węża mu pod nosem,
starościna już nie słucha
i częstuje gościa ciosem.

A co dalej już nie pomnę,
kaca mam i senny koszmar.
Żona ma pretensje do mnie
brzęczy jak nieznośny komar...

Przed próbą

W teatrze popłoch, nie przyszedł aktor,
próbę sceniczną opóźnia Wiktor
bałaganiarski, zwyklej urody,
okrągły, nie żonaty ani nie młody.

Marta widziała na własne oczy
jak na ulicy deszcz go zmoczył.
Ewa mijala się z nim w tramwaju,
miała wrażenie, że był na haju.

Piotr podpowiada: w barze wypity
na śmierć go zatrul plyn jadowity.
Igor przemówił: on był splukany,
kiler go zabił za dług karciany.

Jan słowa mierzy: dość pustych gadek,
w szpitalu leży, bo miał wypadek,
gdyż na przejeździe tym niestrzeżonym
pod pociąg wszedł na świetle czerwonym.

Wtrąca się Kasia: wiem co się dzieje,
nie jestem ślepą, on był złodziejem,
sto złotych ktoś skradł, na pewno to on
koniec końcem wpadł ten kameleon.

Pewnie jest sprawcą znanej kradzieży
stu czekoladek w słynnej oberży,
ma przesłuchanie, siedzi w areszcie...
Czyżby dorwali drania nareszcie?

Posądzili o winę za wypadki,
opłotkowali, przypięli latki...
Nikt nie pomyślał, że był znużony,
po prostu zasnął – czas był zmieniony.

Tautogram na literę K

Kobieta kancelistka,
kolaborując kaście
konfederacji krajów,
kopsnęła korpusowi kawalerii
kartotekę kontrwywiadu.
Komendantura kontuzjowana
karkołomną kradzieżą
kreowała kwestię kosztów,
kompletując koncepcji...
Kontrwywiad kroczy
kanałami konfidenta
kartkuje kroki kreta,
kreatywnie kładzie koniec,
kolaboracji kapusia.
Kobieta – ksywa Kocica –
krótko konstruując kropnęła
kozikiem krzywego kaprała.
Katowana klęczała, klęła, kwiliła.
Kajdany kaleczyły kostki,
krwawiły krosty kolan.
Kapituluje, kapuje kompanów ...
Kolegium karze kryminalistkę.
Komendant korpusu komenderuje
kapitanowi karnej kompanii:
Kaźń. Kończyć kobietę kulami karabinów.
Konsternowany kapitan-kat,
który kiedyś kochał „Kocicę”,
kwestionuje; kusicielka, kochanka,
kolaborantka, kapuś...
Kogo kochałem? Kogo karzę?
Krucha krótkowieczność,
księżyc kroczy ku kołysce.
Karna kompania kieruje karabiny.
Komenda...

Migawka z letniej podróży

Na słomianym dachu
ćwierka wróbel,
z łoskotem skrzydeł
kogut goni kurę po podwórku.
Na przyzbie obok ganku
siedzi starzec i głaszcze kota
patrzac na powoli osiadający
tuman kurzu na drodze
obok przechylonej furtki
z szyldem „Na sprzedaż”

Henryk Ditchen

Maria Domżał-Wasilewska

Dafnia

Ślizgam się po powierzchni życia
Jak dafnia po tafli jeziora
Lękam się głębi

Uciekam przed płomieniem miłości
Boję się spłonąć
Uciekam przed przyjaźnią
Boję się zawodu
Uciekam przed obowiązkiem
Boję się, że nie sprostim
Uciekam przed namiętnością
Boję się, że sprowadzi mnie na manowce

Czy tak miało wyglądać
Moje życie?
Gdzie jest ta droga
Którą powinnam iść?
Wciąż szukam, ale czy
Zdążę odnaleźć?

5 listopada 2007

Marzenie

W daleką podróż chcę wyruszyć,
Porzucić troski, smutki, żale.
Niechaj przygoda mnie poniesie
W nieznane, piękne ziemskie dale.

Pragnę na słoniu jeździć w buszu,
Z żółwiem popływać w oceanie,
Lotnią szybować nad pustynią,
Pod gwiazdnym niebem mieć mieszkanie.

Wspieraj mnie Boże i błogosław
I powiedz proszę: niech się stanie,
Wierzę w opiekę Twą i miłość
Wszechwładny Boże, Świata Panie.

Dopóki w sercu mym goreje
Iskra młodości, ciągle żywa
Dopóki umiem jeszcze pragnąć,
Choć głowa moja jest już siwa.

A kiedy dojdę już do końca
Wędrowni na tej ziemi,
W najdalszą podróż się wybiorę
I znowu będę między swemi.

Warszawa, sierpień 2003

Medytacja

Każdy dzień jest cudem
A niepewność jak cień
Podąża za nami.
Przyziemne sprawy otaczają,
Zacieśniają krąg,
Piętrzą się,
Stawiają nas w szachu.
Co zrobić aby uniknąć mata?

Mój osobisty komputer
Mózg
Pracuje bez przerwy.
Bywają chwile że „zawiesza się”
Odpływa w nieznane dale
Myśli przychodzą i odchodzą
skąd przyszły
Zasłona opada i czuję
Wszechogarniającą jedność.

Warszawa, marzec 2005

Oddział „O”

W wąwozach korytarzy
Spotykam takich jak ja
Zmęczonych chorobą ludzi
Leżą szeregiem na żelaznych łózkach
Kobiety obok mężczyzn

W promieniach zachodzącego słońca
Błyszczą kopuły czaszek
Pokrytych cienką, białą skórą
Gdy przechodzę, patrzą na mnie
Wielkimi oczyma w których czai się lęk

Nagle czuję lekki powiew
To nadlatuje anioł śmierci
By wziąć na swe skrzydła
Najbardziej zmęczonego

Niesie go bezszelestnym lotem
Do krawędzi za którą
Otwiera się cała wieczność

Szpital MSWiA, Warszawa, 2 maja 2015

Trudne podejście

Ostatnie podejście do wieczności
Jest dla mnie za trudne
Na stromiźnie którą pokonuję
Każdego dnia
Piętrzą się lasy strzykawek
Oplatają mnie liany kroplówek
Zawieszonych tuż nad głową
Zalewają potoki preparatów chemicznych
Kierowanych prosto do żyły przez port
Zasypują kamyki pastylek
O różnych kolorach i kształtach
Przebijają ciernie skalpeli
Ostrych jak miecze damasceńskie
Owijają węże bandaży

Białych jak śnieg
W strumieniu tętnicy piętrzy się port

Nie czuję bólu, tylko wielkie zmęczenie
Wysilam wzrok, ale wciąż nie widzę
Krawędzi wieczności
Jakże się myliłam, myśląc że dolecę tam
Lotem ważki, bez żadnego wysiłku

Warszawa, 30 kwietnia 2015

Beata Fijałkowska

* * *

Mój mały dom
nad przepaścią
zawieszony
na linii naszych spojrzeń...
proszę, nie odwracaj wzroku.

Zagubiátko

Zagubiátko w wielkim błękanie
pasło się na skraju próżni.
Zagubiátko mijali różni
i w końcu minęło je życie...

Noc

Pomiędzy mną a tobą
rozpięta
senna przestrzeń.
Jesteśmy
parą uciekinierów z ciał.
Jesteśmy
wiecznymi studentami
A noc to niedziela
kiedy
wracamy do domu.

Bardzo stary erotyk

Chciałabym,
byś odprawil
pierwszą mszę
w świątyni
mego ciała.

Hanna Fołtyn

Przemilczenie

Przemilczmy tę noc
wplecioną w nasze ciała
roziskrzonym krzykiem
gasnących gwiazd
wyrwaną spośród
cichej samotności.

Przemilczmy ten świt
wciśnięty pod powieki
zmęczone niewyspaniem
naznaczony suchością
spuchniętych ust
kawą w cudzym kubku.

Przemilczmy nas
nie do końca rozpoznanych
spotkanych w windzie
zdesperowanych ludzi
dwoje marzycieli
zagubionych w czasie.

Zmęczonym wzrokiem

Opada głowa,
zmęczonym wzrokiem
toczę kulę u nogi,
chciałoby się iść
pomiędzy drzewa,
podglądać czujne
oczy dziupli,
dotykać chropowatości drzew.

Ciało omdlewa,
upał spija wodę,
zmęczonym wzrokiem
śledzę sunące cienie,

słońce wysyła nam
żar wybuchów,
zanim spopieli Ziemię
czerwonością karła.

Myśl płowieje
od światła księżyca,
noc mąci sen
zmęczonym wzrokiem
szukam twarzy tam
gdzie tylko suche oceany
na samotnym satelicie
i księżycowy pył.

Świat dziwaczeje,
zmęczonym wzrokiem
obracam migające obrazy
na drugą stronę,
chciałoby się uciec,
a wojna toczy
swe czerwone wody
coraz bliżej.

Bajka o malarzu

Niedaleko, gdzieś pod lasem
za miasteczkiem i za górką
mieszkał w pięknym białym domu
malarz z żoną i wiewiórką.

Żona była bardzo piękna
miała długie, jasne włosy
wciąż mężowi pozowała,
jej portretów miał już stosy.

Malarz nie miał wyobraźni,
a wiewiórkę chciał malować,
lecz ta była w ciągłym ruchu
i nie chciała mu pozować.

Kiedys zebrał kosz orzechów

by je żonie podarować,
wiewiórka nagle usiadła
jeść orzechy, nie pozować.

Malarz w ręce chwycił pędzle,
blejtram na sztalugę wstawił,
patrzając na żonę z wiewiórką,
co widział, pięknie przedstawił.

Obraz szybko zyskał podziw,
nawet do muzeum trafił,
nazwany *Dama z wiewiórką*
malarza bardzo rozślawił.

Morał z bajki tej wynika,
choć w bajki ja nie wierzę,
by być sławnym trzeba chyba
oprócz żony mieć i zwierzę.

Ptak z lękiem wysokości

Gdy się wykluł z jajka, ślepy, ze skurczonymi nóżkami i mokrym puchem, wyglądał zupełnie normalnie, jak inne pisklęta. Wkrótce wysechł i myślał już tylko o tym, kiedy dostanie jeść. Czekał na przylot rodziców, otwierał szeroko dzióbek, dostawał jeść i rósł.

Wkrótce był już sporym podlotem, któremu zaczęło się robić ciasno w gnieździe. Któregoś dnia znudzony oczekiwaniem na kolejną porcję jedzenia, spojrzał w dół „O kurczę, ale wysoko” – pomyślał i cofnął się szybko w głąb, bo odniósł wrażenie, że zaczęło mu się kręcić w łebku. – „Niemożliwe” – myślał dalej, ale na wszelki wypadek nie wychylał się już tego dnia.

Wkrótce wszystkie pisklęta zaczęły próbować swych sił w machaniu skrzydełkami. Stawały na krawędzi gniazda i machały nimi, choć na razie niewiele z tego wychodziło. Wszak na skrzydełkach ledwo pojawiały się pierwsze piórka.

Tylko on siedział na dnie i udawał, że zajmuje się zupełnie czym innym, jakby przygotowania do latania wcale go nie obchodziły. Rodzice, trudzący się wciąż zdobywaniem pożywienia, nie zwracali na to uwagi, sądząc, że ćwiczy latanie podczas ich nieobecności.

Usiłował kilkakrotnie wyrzeć poza gniazdo, ale za każdym razem, coraz bardziej męciło mu się w łebku, a gdy patrzył w dół, robiło się tak niedobrze, że o mało nie zwracał zjedzonych robaków. Zawsze kończyło się to tak samo. Więc starał się nawet nie zerkać poza krawędź.

Wreszcie jego bracia zaczęli latać. Początkowo blisko, zatrzymując się co chwila na gałęziach drzewa, ale stopniowo coraz dalej i wyżej. Szło im łatwo. Wkrótce już sami zaczęli troszczyć się o własne wyżywienie.

W tej sytuacji rodzice coraz mniej zajmowali się jego karmieniem. Parzyli z troską i zdziwieniem na siedzące pośrodku gniazda pisklę, a właściwie dorosłego ptaka, który lęka się nawet z niego wyrzeć. Nie pomagały piski, śpiewy, pokazy machania skrzydłami ani loty rodziców. On po prostu bał się i już.

Ponieważ rodzice przylatywali z robakami coraz rzadziej, bywał coraz częściej głodny. Zmusiło go to do zastanowienia się nad sobą i swoim losem. Pomyślał, że musi przedsięwziąć jakieś działania, bo inaczej nikt mu nie pomoże i zdechnie z głodu. Doszedł do wniosku, że jeśli nigdy nie odważy się latać (na samą myśl o tym dostawał gęsiej skórki), to może mógłby chodzić. Powziął więc decyzję o ćwiczeniu nóg. Nie było to łatwe w małym gnieździe, ale robił postępy. Poruszał palcami, stopami, machał nogami z całych sił i wkrótce odniósł wrażenie, że mu znacznie urosły. Mógł chodzić. Ale gdzie?

Gniazdo znajdowało się na jednej z najwyższych gałęzi starej wierzby. Do ziemi było daleko. A najgorszy ze wszystkiego był lęk przed wysokością. Coś jednak trzeba było zrobić. Tym bardziej, że od kilku dni rodzice w ogóle przestali przylatywać z jedzeniem i zajmowali się własnym życiem. Bracia dawno już gdzieś latali, daleko i wysoko.

Trzeba było się na coś zdecydować, albo zdechnąć z głodu. Postanowił działać. Zamknął oczy. Ostrożnie przysiadł na krawędzi gniazda od grubszej strony gałęzi. Wystawił nogę poza krawędź, wyczuł gałąź, postawił na niej nogę, potem drugą, przycisnął skrzydła do boków, nie otwierając oczu, odbił się i skoczył. Poczul, że spada. Uderzył główką w jakąś gałąź, zaczął stopą o liść, uchylił na chwilę powieki. Zrobiło mu się niedobrze i bach – rąbnął o ziemię. Na chwilę zaparło mu dech w piersiach. Świat się kołysał, ale wkrótce wszystko się uspokoiło. Poczul, że leży na plecach. Otworzył oczy. Zobaczył nad sobą żdźbła traw, wyżej gałęzie drzewa i prześwitujące przez liście słońce. Odetchnął głęboko. Zamachał nogami i przyjął stojącą postawę. Rozejrzał się wokół. Czul się nieźle. Nie kręciło mu się w głowie. Wokół miał dużo miejsca, było płasko, żadnej wysokości. Gdyby nie głód, byłby prawie szczęśliwy.

Wtem zobaczył niedaleko wylazącego z ziemi robaka. Podbiegł, dziobał. No – o to chodziło. Rozejrzał się wokół i zobaczył wiele rzeczy, które wyglądały na zdatne do jedzenia. Nogi niosły go dobrze, więc już nie czekając, zaczął szukać czegoś do polknięcia.

Nagle posłyszał szelest, obejrzał się. Coś wielkiego z dwoma błyszczącymi jak latarnie oczami i groźnie nastawionymi wąsami patrzyło na niego badawczo. „Uciekać” – zaświtało mu w głowie – „uciekać”. Zaczął biec, przebierał szybko nogami, żdźbła trawy stawały mu na drodze, obijały mu skrzydelka, przeszkadzały, a to coś wielkiego gonilo go. Było tuż, tuż. „Może by pofrunąć” – pomyślał w poplochu – „ale przecież nigdy nie próbowałem tego robić, a poza tym ta wysokość, to straszne”.

W tej chwili zobaczył przed sobą dziurę, bez namysłu wbiegł tam i przyczaił się. To, co go gonilo, zatrzymało się, zamiauczało, chwilę poczekalo, w końcu odeszło. Uciszył szybko bijące serce, poczuł się bezpieczny. Dziura okazała się wąskim przejściem do wielkiego, mrocznego pomieszczenia. Po chwili rozejrzał się ostrożnie. Leżały tu różne okrucy, słoma, a przede wszystkim ptasie odchody. Poczuł się swojsko. Słyszał piski, kląskanie, ciamkanie. Niedaleko biegalo i coś dziobało stadko żółtych, ledwo opierzonych piskląt, podobnych do jego braci, gdy byli mali. Nad nimi puszył się wielki, nastroszony ptak wydający dziwne, gdaczące odgłosy. Ponieważ nie wyglądało to groźnie, a brzuszek w dalszym ciągu burczał mu z głodu, podszedł bliżej. Małe ptaszki nie zareagowały, a duży tylko popatrzył w jego stronę i całkowicie go ignorował.

„Nieźle” – pomyślał i zaczął dziobać rozrzucone wokół ziarno. Zbliżył się w ten sposób do gromadki pisklaków. Wkrótce znalazł się między nimi. Gdy otworzyły się drzwi i w jasnym tle pojawiło się coś ogromnego na dwu nogach, wszystkie pisklęta schowały się pod skrzydła dużego ptaka. Zrobił to samo. Poczuł, że jest w gromadzie. Było mu ciepło i bezpiecznie. Westchnął i zasnął.

Szybko przywykł do nowej rodziny. Nikt nie protestował. Wychodził więc ze wszystkimi na podwórko, a potem wracał do pomieszczenia. Początkowo ktoś usiłował go łapać, ale wtedy szybko chował się pod skrzydła przybranej, wielkiej matki. Jadł do syta, biegał, czasami nawet podśpiewywał, czuł się zadowolony z życia.

Wkrótce wszyscy przywykli do widoku niezwykłego ptaka, który nie chciał latać i przystosował się do podwórkowego życia.

20.02.2016

Przypadkowa ofiara

Szedł za nią od jakiegoś czasu i obserwował. Widział, jak ciężko i powoli stawia stopy w sandałach na niskich obcasach. Grube, miękkie ciało w obcisłej kolorowej bluzce przelewalo się kilku walcami nad paskiem lnianych pomiętych spodni. Odciskały się przez nie grudki cellulitu na udach, które ocierając się o siebie podciągały spodnie do środka, co powodowało, że sylwetka stawiała się jeszcze bardziej nieforemna. Przez plecy na ukoś wpisał się w jej ciało pasek od torebki przewieszzonej przez lewe ramię, to powodowało, że cała sylwetka była podzielona na dwie, niesymetryczne części. Krótko obcięte włosy były mokre od potu i tłuste. Cała wydawała się gorą bezkształtnego mięsa. Miała jednak zaskakująco wąskie kostki u nóg, nad którymi dopiero przy końcu spodni widać było grubą, spuchniętą łydkę. Dłonie opuszczone wzdłuż boków także ładne i wąskie, zupełnie nie pasujące do obwisłych ramion, wyglądały na bezradne, gdy kołysały się w rytm kroków.

Zastanawiał się jak wygląda jej twarz. Zapewne nalana z kilkoma podbródkami, choć pewnie gładka, jak to bywa u grubasów. Pewnie biust i brzuch zwisają jej i falują w takt ciężkich kroków.

Szedł za nią tak samo powoli, choć jego krok był sprężysty, koci, jak krok drapieżnika. Pod lekką skórzaną kurtką czuł na piersi kształt sztyletu, który zawsze miał ze sobą. A gdyby ją zaatakował, to czy przy jej tuszy sztylet w ogóle doszedłby do serca i czy upadając nie zaczęłaby bezwładnym ciałem o niego, czy zdołałby odskoczyć, przecież nie miałby siły, żeby ją podtrzymać i ułożyć delikatnie na ziemi. Raczej gruchnęłaby o podłoże jak bezwładna kłoda. A gdyby wtedy jeszcze żyła...

Minęli w ten sposób miejski kwadratowy rynek, podobny do innych w miastach, w których bywał. Otoczony z każdej strony wąskimi kilkupiętrowymi kamieniczkami – tu dobrze utrzymanymi. Ten charakteryzował się tym, że każda strona rynku, poza kamieniczkami miała jakiś ciekawy obiekt: na jednej stronie rynku znajdowała się duża kawiarnia z ogródkiem, , na drugiej – ratusz z zegarem, na trzeciej sklepy w podcieniach, a na czwartej renesansowy kościół. Pośrodku rynku stała fontanna w kształcie stojącej na ogonie ryby, z której pyska wypływała dość niemrawo woda. Kobieta, którą śledził, weszła do jednego ze sklepów w podcieniach z szyldem „Rozmiar jest ważny”. Przystanął, a potem odwrócił się i przeszedł przez rynek na jego drugą stronę.

Słońce powoli zbliżało się ku zachodowi. W kawiarnianym ogródku oświetlonym resztkami promieni siedziało kilka osób przy lodach i napojach. Rozejrzał się, zatrzymał na chwilę, a potem usiadł przy jednym z wolnych stolików. Fotel okazał się wyjątkowo wygodny, a za chwilę podeszła do niego młoda, ładna, uśmiechnięta kelnerka ubrana w krótką sukienkę

w niebieskie kwiatki i biały fartuszek. Podobno mężczyźni nie zauważają ubiorów kobiet, ale on lubił się przyglądać, jak są ubrane i czy ubranie do nich pasuje, czy oddaje ich charakter. Często wybierając ofiarę, kierował się właśnie ubraniem. Niedopasowane do osoby sugerowało, że nie do końca wiedziałby, kogo zabija. Zastanawiał się, czemu ten ktoś tak źle się ubiera, czemu nie oddaje ubiorem swej osobowości, czemu jest taki bezbarwny. Złościlo go to i było niekiedy powodem ataku. Chciał, żeby ludzie byli ładni. Ale ładni i dobrze ubrani też bywali jego celem. Może dlatego, że byli bardziej pewni siebie. Chciał wtedy udowodnić im, a może sobie, że dobre życie też może się skończyć nagle i bez sensu.

Gdy kelnerka spytała go, czego się napije, uśmiechnął się do niej, zamówił kufel zimnego piwa, oparł się wygodnie i zaczął obserwować siedzących nieopodal ludzi.

Najdalej od niego siedziała smutna, milcząca para zmęczonych czterdziestolatków. Być może byli skłóceni albo mieli jakiś poważny problem. Stały przed nimi filiżanki zimnej kawy. Każde z nich gapilo się w inną stronę i zatopione we własnych myślach nie zwracało uwagi na partnera. Czuć było między nimi zniechęcenie, rozczarowanie, złość. Tak być nie powinno. Nie po to się żyje! A po co? Sam zadawał sobie czasem pytanie, kto powinien decydować o ludzkim życiu, kto dokonywał codziennych wyborów, kto wyznaczał daty śmierci? On lubił bawić się w Boga. Być przyczyną końca! To mu dawało poczucie siły, władzy. Uśmiechnął się do siebie.

Nieco bliżej dwie starsze, radosne panie, ubrane w suknie, które miały zapewne niewiele mniej lat niż one, w śmiesznych kapeluszach, nachylone do siebie nad szklankami herbaty i talerzykami z okruszkami zjedzonych już ciastek, szeptały teatralnie i najwyraźniej, z wypiekami na twarzach, kogoś obgadywały. Jedna z nich, ta siedząca przodem do niego, zauważyła jego wzrok i lekki uśmiech, być może pomyślała, że był skierowany do niej, bo też się uśmiechnęła, filuternie i nawet mrugnęła do niego okiem. Roześmiał się.

Najbliżej niego siedział przy kieliszku wina dobrze utrzymany facet około pięćdziesiątki ubrany w bordowe spodnie, błękitną koszulę z podwiniętymi mankietami i piękny, kolorowy szal owinięty poniżej kołnierzyka. Dość długie, siwe włosy miał związane w kucyk i od czasu do czasu, patrząc przed siebie rozmarzonym wzrokiem gładził się po dobrze ostrzyżonej brodzie. Miło było na niego popatrzeć. Dziwne, że był sam.

W zasadzie można byłoby go zacząć i zaprosić na spacer... Ale mężczyźni byli zdecydowanie gorszymi kandydatami na ofiary, byli silniejsi i czasami dziwnie reagowali na innych mężczyzn... Zdecydowanie wolal kobiety, jego osobisty urok powodował, że pozwalały mu podejść blisko, że się nie broniły, że były takie miękkie i łagodne....

Pił piwo i przyglądał się ludziom. Na jednych patrzył z przyjemnością, innych tylko muskał bez zainteresowania wzrokiem. Zastanawiał się kogo

mógłby wybrać na dziś, dokąd za nim mógłby pójść, jak by to zrobił. Ale jakoś żadna osoba zupełnie go nie pociągała. No, może jedynie kelnerka. Była taka pełna życia, radości i życzliwości. Być może dałaby się namówić na spacer po skończonej pracy, a wtedy...

Poprosił o jeszcze jedno piwo i gdy mu je z uśmiechem podawała, spytał, czy ma dziś wolny wieczór i czy umówiłaby się z nim na spacer. Uśmiechnęła się do niego zalotnie, ukazując białe, równe zęby, przysiadła na chwilę na fotelu obok i powiedziała: – „Jest pan uroczy, i chętnie bym się z panem prze-spacerowała, ale mam już zajęte wszystkie wieczory do końca życia, miesiąc temu wysłałam za mąż i już nie chadzam na spacer z obcymi, tylko z moim ukochanym mężem. Zresztą zaraz kończę moją zmianę i spodziewam się, że mąż za chwilę po mnie przyjdzie”.

„No cóż, bardzo żałuję, ale życzę pięknych spacerów”. Naprawdę żałował, patrzył z przyjemnością na odchodzącą kelnerkę i wyobrażał sobie z jaką czułością i przyjemnością wbiłby jej sztylet w serce, ułożył potem na miękkiej trawie i zamknął jej oczy. Ale cóż, nie zawsze ma się to czego się chce.

Skończył pić piwo. Skierował się do toalety w kawiarni. Kątem oka zauważył, że kelnerka rzuca się na szyję całkiem przystojnemu facetowi, zapewne mężowi, uśmiechnął się – przyjemnie widzieć szczęśliwych ludzi, pomyślał i zatrzęsnał drzwi do kabiny.

Po chwili wyszedł z kawiarni i ruszył przed siebie, skręciwszy w pierwszą przecnicę z lewej. Ulica była dość szeroka z równie szerokimi chodnikami obsadzonymi niewysokimi drzewkami, przyciętymi w równiutkie kule, pomiędzy nimi stały nowe ławki, wyglądające na wygodne. Za niskimi ogrodzeniami stały domy jednorodzinne, każdy inny, w zupełnie odmiennym stylu, kolorze i stanie zużycia. Przed każdym znajdowały się niewielkie ogródki, także bardzo zróżnicowane. Jeźdźnią z rzadka przełykały samochody różnych marek, stosunkowo nowe. Ludzi było niewiele, spieszyli się dokąś w swoich sprawach.

Szedł powoli, przyglądał się ogródkom, uśmiechał do mijanych ludzi i zastanawiał, co robić dalej. Jak zakończyć ten dzień. Słońce już prawie zaszło, niebo powoli szarzało.

Doszedł do niewielkiego parku, w którym odbywał się zapewne jakiś festyn, bo z daleka widać było niewielki tłum, słychać było muzykę. Zobaczył scenę, obok jasno oświetlone kramy, przy których kręcili się ludzie.

No, pomyślał, nareszcie jakiś wybór. Wszedł między ludzi i zaczął się rozglądać. Na scenie całkiem nieźle grał kilkuosobowy zespół, ludzie słuchali, podrygiwali, a kilka par nawet tańczyło.

Stał z boku. Po drugiej stronie zauważył interesującą blondynkę. Była zgrabna, choć niewysoka, miała wąską talię i ładny biust. Lekko falujące włosy do ramion. Była ubrana w rozpinaną z przodu sukienkę w kolorze czerwonego wina, która podkreślała jej zgrabną sylwetkę. Lubił zgrabne, zadbane

kobiety. Na tę nie tylko patrzył z przyjemnością, ale też szybko z satysfakcją zauważył, że jest sama. Zdawała się nie zwracać uwagi na otoczenie, z lekko przymkniętymi powiekami słuchała muzyki i poruszała się do taktu. Przez dłuższą chwilę przyglądał się coraz bardziej zaniepokojony.

Potem powoli, ale zdecydowanie okrzyknął słuchających i zbliżył się do blondynki. Stał tuż za nią. Poczł zapach perfum – skądś je znał, coś mu przypominały, poruszyły w głowie jakąś strunę, ale nie mógł do końca skojarzyć. Więc wdychał tylko ten zapach i sam zaczął poruszać się w takt muzyki, dostosowując się do ruchów kobiety. Po chwili muzycy skończyli grany kawałek i nastąpiła krótka przerwa. Blondynka przestała się poruszać, jakby ocknęła się z letargu, rozejrzała dookoła.

Spojrzała na niego, przypadkowo. Uśmiechnął się. Popatrzyła zdziwiona i odwróciła wzrok bez reakcji. Muzycy zaczęli znów grać. Ale ona stała teraz nieruchomo, a po chwili odwróciła się, minęła go i zaczęła iść w stronę ulicy, którą on niedawno przyszedł.

Poszedł za nią. Szła niespiesznie, ale też nie nazbyt wolno. Ładnie się poruszała. Z przyjemnością patrzył na biodra wyraźnie rysujące się pod sukienką i poruszające się z gracją. Dłońmi objęła ramiona, jakby było jej chłodno. Nie oglądała się. Szła z wyraźnym zamiarem dotarcia do celu. Być może niedalekiego. Nie mógł na to pozwolić. Była idealna. Już wyobrażał sobie jak mięknie w jego ramionach, aż poczuł dreszcze. Przyspieszył. Zrównał się z nią.

– Przepraszam – powiedział – zdaje się idziemy w tę samą stronę, mogę dołączyć?

Odwróciła do niego głowę, popatrzyła lekko zdziwionymi oczami, nie odpowiadając, szła dalej tym samym, lekkim krokiem.

– Pięknie pani pachnie – znów się odezwał – co to za zapach?

Znów się nie odezwała, nawet nie odwróciła głowy. Przeszli kilka kroków. Równolegle a jednak zupełnie osobno. Poczł się ignorowany, a nie chciał do tego dopuścić. Wyciągnął dłoń i lekko dotknął jej ramienia. Stała nagle, zaskoczona. Odwróciła się do niego. Wciąż obejmowała się ramionami, przez co wydawało mu się, że się od niego odgradza tym gestem, że jest zamknięta.

– Czego pan chce? – spytała. Głos miała czysty, chłodny, pozbawiony emocji. – Nie znam pana i nie chcę poznać. Mam ochotę zostać sama, więc proszę mi dalej nie towarzyszyć.

– Nie mogę na to pozwolić – odpowiedział. – Pyta pani czego chcę, wszystkiego, chcę od pani tego, co najcenniejsze. Dostanę?

Nie odpowiedziała. Stali naprzeciw siebie, w pobliżu ławki i jednego z przyciętych w idealną kulę drzewek. Zapadał zmrok, ale latarnie jeszcze się nie paliły. Daleko na zachodzie widać było resztki malinowej smugi po zachodzącym słońcu. Wokół nie było nikogo.

Wyciągnął rękę i znów ją dotknął. Tym razem drgnęła, rozplotła ręce, opuściła je wzdłuż ciała. On oparł lewą rękę na jej ramieniu, prawą sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Atak był tak szybki, że nawet nie zauważyła błysku sztyletu, który został wbity precyzyjnie między żebra, prosto w jej serce. Stała jeszcze i patrzyła na niego z rozszereżonymi źrenicami. Jej ręce chwyciły go za ramiona, wyglądało, jakby przytuliła się do niego. W pobliskim domu zaszczekał pies, zapaliło się światło na zewnątrz, wyrzwał jakiś człowiek, popatrzył w ich stronę, pokiwiał głową, zapewne pomyślał, że się całują. Wrócił do domu, światło zgasło.

Jeszcze przez chwilę tulił ją do siebie, choć już nie czuł tętna. Po czym ją odsunął, wciąż miała zdziwienie w oczach, teraz już lekko zamglonych. Pomału się osunęła. Objął ją i posadził delikatnie na ławce. Sam usiadł obok niej. Rozejrzał się, od strony festynu szła grupa ludzi, hałasowali. Wyciągnął szybko sztylet z jej piersi. Znal się na swojej robocie. Krwi prawie nie było. A nawet jeśli, to na ciemnej czerwieni sukienki nie było jej widać. Gdy grupa ludzi ich mijala, objął ją mocno i przytulił, miał ochotę pocałować ją w czoło, ale wiedział, że nie powinien zostawiać żadnych śladów biologicznych. Po chwili znów byli sami, zamknął jej oczy, jej głowa łagodnie pochyliła się do przodu. Odsunął się, popatrzył, wyglądała ładnie, jakby zasnęła na siedząco.

Rozejrzał się ponownie, nikogo w pobliżu nie było. Poczul się wspaniale. Wstał, odszedł lekkim krokiem, czując w sobie radość, siłę, spełnienie. Kim była blondynka – nie miało znaczenia, liczyło się tylko jego dobre samopoczucie.

Szybkim krokiem, bez zatrzymywania się, dotarł do samochodu zostawionego na parkingu przy ratuszu. Wsiadł. Silnik cicho zaszumiał. Po chwili minął ulicę z okrągłymi drzewkami, na której wciąż było cicho i spokojnie. Wyjechał z miasta, szybko trafił na drogę szybkiego ruchu, następnie na autostradę i jechał zadowolony z zakończonego dnia. Jechał do jakiegoś miasta.

20.06.2018 – 02.08.2018

Stefan

Marta lubiła patrzeć na Stefana, zwłaszcza, gdy leżał rozwalony na kanapie, gapił się na nią swymi wielkimi, zielonymi oczami i wydawało się, że słucha, a nawet rozumie, co do niego mówi. Zawsze gdy mówiła, też gdy rozmawiała przez telefon, Stefan gdziekolwiek był i cokolwiek robił, natychmiast do niej podchodził i słuchał. Nawet, gdy spał, budził się na dźwięk jej głosu i rozespany też słuchał. Odkąd tylko pojawił się w jej wiejskim domu, stał się ważnym, choć niejedynym towarzyszem jej życia. Naprawdę lubiła

z nim rozmawiać. Może dlatego, że Stefan świetnie reagował na jej słowa, pewnie lubił jej głos. Często nie mówiła bezpośrednio do niego, raczej do samej siebie, ale to, że ktoś jej słuchał, pozwalało jej lepiej pozbierać myśli.

Tym razem też, gdy telefon zadzwieczał w jej kieszeni, zobaczyła rozczułona, jak Stefan zeskoczył z fotela, na którym się wylegiwał, podszedł do niej i zaczął się ocierać o jej nogi. Prawą ręką przyłożyła telefon do ucha, a lewą zaczęła drapać Stefana za uszami.

Rozmowa nie była długa, więc Stefan tylko pomachał ogonem i już mniej zainteresowany wyszedł przed dom, po czym zaczął z dużym zainteresowaniem śledzić kawki, które szukały w trawie robaków. Stefan przywarł do trawnika, ogon zaczął mu nerwowo drgać i po chwili rzucił się w stronę ptaków. Oczywiście nic z tego nie wyszło, bo dorosłe ptaki doskonale opanowały sztukę ucieczki. Rozproszyły się na wszystkie strony. Po czym wkrótce wróciły do przeszukiwania trawnika, a Stefan, już zniechęcony do polowania, rozłożył się na trawie i tylko na nie patrzył.

Marta uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak spotkała go jesienią kilkanaście lat temu.

Poszła do lasu na grzyby, bo zwyczajowo jesienią lubiła zbierać podgrzybki, żeby je zamarynować i mieć potem co podjadać do dobrej wędliny. Tego dnia pogoda była pochmurna, poprzedniego dnia padało i Marta spodziewała się dobrego grzybobrania. Tymczasem grzybów było jak na lekarstwo, a gdy wychodziła z lasu z jednym koszykiem zapelnionym jedynie w połowie, a drugim zupełnie pustym, usłyszała ciche popiskiwanie, bo nawet nie miauczenie, i po chwili zobaczyła małego zabiedzonego i straszliwie umorusanego kociaka, który ledwo się włókł brzegiem rowu. Jak ty się tu znalazłeś tak daleko od wsi? – spytała raczej sama siebie, niż jego, a kociak popatrzył na nią rozpaczliwym wzrokiem, otworzył pyszczek w niemej skarście na los i zaczął się gramolić w jej kierunku przez błoto i wysoką trawę. Pomyślała, że zapewne jakiś wieśniak topił w bajorku cały koci miot i nawet się nie zainteresował, czy wszystkie kocięta się utopiły, widać jeden z nich miał nie tyle szczęście, co ogromną wolę życia, więc wydostał się z błota i właśnie ku niej szedł. Szedł ku człowiekowi, choć nie miał z ludźmi dobrych doświadczeń.

Cóż miała robić. Musiała jakoś poprawić ludzki wizerunek. Podniosła go, wsadziła do pustego koszyka, i tak wrócili razem do domu.

Marta najpierw kociaka nakarmiła. Rzucił się na jedzenie, konkretnie na pasztet, który sobie ostatnio kupiła, a następnie na mleko, jakby nie jadł kilka dni. Być może zresztą tak było. Patrzyła na niego, nie mogąc wyjść ze zdumienia, ile może zjeść taki mały kociak. Gdy już napelnił brzuszek, który zrobił mu się twardy i okrągły, zakręcił się wokół siebie i wyraźnie zaczął szukać wygodnego miejsca do spania. Przedtem jednak niemiłosiernie się podrapał, raz jedną nogą, raz drugą.

Marta wzięła go w rękę, bo mimo pękatego po jedzeniu brzuszka, był zdecydowanie malutki i chudziutki i zaniósła go do łazienki. Podstawiła pod kran z ciepłą wodą i choć wywijał się jak mógł, a nawet zaczął przeraźliwie piszczeć, to jednak twardą ręką przytrzymała go pod kranem, uważając, żeby nie zamoczyć mu uszu i pyszczka, wylała na niego trochę szamponu i zaczęła szorować. Spłynął z niego brud i wtedy okazało się, że kot ma śliczny rudy grzbiet, białe brzuszki i łapki z białymi skarpetkami, do tego prześliczny pyszczek z rudymi uszkami. Niestety okazało się, że miał też liszaj pod ogonkiem (no i był chłopczykiem) oraz okropnie dużo pcheł.

Marta zdziwiona, że takie małe kocię może być tak zapchlone, zwinęła go po kąpiel w ręcznik i pozwoliła wreszcie trochę przysnąć. Kotek był tak wyczerpany walką o życie, ale też jedzeniem i kąpielą, że już nawet pchły przestały go interesować. Po prostu zasnął.

Marta usiadła w swoim obszernym wygodnym fotelu, położyła kociaka na kolanie i zaczęła go zwyczajnie iskać. Pomału wyłapywała pchłę za pchłą, które na mokrym jeszcze futerku poruszały się dość niemrawo i łatwo dawały się chwycić. Było ich chyba ze trzysta! Po jakiejś godzinie i Marta, i kot byli już bardzo zmęczeni, przy czym malec, jakby rozumiejąc, że jest doprowadzany do porządku, nie próbował się wyrwać ani poruszać, a może był już tak tym wszystkim umordowany, że nie miał po prostu siły. Marta zdecydowała, że na dzisiaj wystarczy. Wyschniętego już malucha położyła na swoim łóżku, a on zwinął się w biało-rudy kłębuszek i z westchnieniem zasnął.

Zanim tego dnia późnym wieczorem Marta położyła się spać, wymyśliła dla kociaka imię. Uznała, że Stefan bardzo dobrze brzmi. Kładąc się pogłaskała go po lebkę i powiedziała do niego czule – wiesz mały, od dziś jesteś Stefan, zapamiętaj to sobie. Kot jakby to usłyszał i zrozumiał, bo otworzył ślepek, popatrzył mądrze na Martę, po czym przelazł przez jej nogi, podszedł w pobliże jej ramienia, ufnie się do niej przytulił i mlasnąwszy jeszcze, znów zasnął.

I tak przespali do rana, bo o świcie Martę obudziło wiercenie się Stefana. Zobaczyła, że stał na koldrze obok jej twarzy i wyraźnie czekał, aż ona wstanie i go wypuści. Więc tak zrobiła. Zastanawiała się, czy Stefan nie ucieknie, ale on spokojnie wyszedł, znalazł sobie piasek leżący przy garażu, załatwił się tam, zakopał wszystko bardzo starannie, po czym wrócił do domu (Marta stała w drzwiach i bacznie go obserwowała), popatrzył na nią wymownie i stanął w miejscu, w którym wczoraj dała mu jeść. Nie mając innego wyjścia, ustawiła tam miseczkę z mlekiem i drugą, do której nakroiła wędliny. Stefan z wielkim apetytem zabrał się do jedzenia, a następnie wrócił do sypialni, z pewnym trudem wdrapał się po koldrze na łóżko, zwinął się w kłębek i znowu zasnął. Marta poszła do sklepu i kupiła dużo kociego jedzenia, uznała bowiem, że podawanie kotu, zwłaszcza malemu, ludzkiego jedzenia nie wyjdzie mu na zdrowie.

Od tego dnia Stefan stał się nieodłącznym elementem życia Marty. Bardzo szybko opanował codzienne rytuały domowe, niektóre zresztą wymusił albo wymyślił sam, na przykład wskakiwanie jej na kolana, gdy tylko siadała w fotelu, nawet gdy spał gdzieś opodal, albo się wałęsał po ogrodzie, ale gdy gościła się wygodnie, żeby poczytać, wypić herbatę, pooglądać telewizję czy po prostu się zdrzemnąć, zjawiał się po chwili i wskakiwał jej na kolana, przez chwilę się kokosił, aż mu pomagała się ułożyć, a właściwie rozciągnąć na kolanach, i wtedy leżał sobie z otwartymi oczami lub zasypiał. A był teraz dużym, żeby nie rzec tłustym, biało-rudym kotem z pięknym puszystym ogonem, na którego patrzyło się z dużą przyjemnością. Ale też wcale nie był lekki.

Czasami Marta wyjeżdżała do miasta na kilka dni, żeby pojawić się w firmie. Pracowała w jednym z dużych wydawnictw w zasadzie wirtualnie, więc nie musiała być w pracy, zwykle pisała i czytała wszystkie materiały przez Internet. Ale od czasu do czasu była zmuszona popracować w realu, czyli pojawić się osobiście w firmie i pomieszkać trochę w swoim miejskim mieszkaniu. Na szczęście Stefan lubił podróżować samochodem. Musiał się tego dość szybko nauczyć, bo zaraz po tym, gdy go znalazła w lesie, wsadziła go do niewielkiego koszyka i pojechała z nim do miasta. W mieszkaniu na dziesiątym piętrze zaaklimatyzował się bardzo szybko, nauczył się korzystać z kuwety w łazience, a wkrótce, gdy już był na tyle duży, że potrafił wskakiwać na wannę, pralkę i na wszystkie półki, wymyślił, że lepiej jest siusiać do dziurki w wannie lub w umywalce niż do kuwety. Marcie bardzo to odpowiadało, bo wtedy wystarczyło odkręcić kran, zamiast myć kuwetę. W ten sposób niezależnie gdzie mieszkali – na wsi, czy w mieście – Stefan nie był uciążliwy. Gdy wychodziła z mieszkania do pracy – na kilka godzin – Stefan jakoś dawał sobie sam radę, pewnie spał, bo nigdy nie narobił żadnych szkód, choć Marta zostawiała mu do dyspozycji całe mieszkanie. Na wsi szybko zrobiła mu kłapę w drzwiach wejściowych, więc nie musiała otwierać mu drzwi, gdy chciał wejść lub wyjść. W zasadzie należało mu tylko nakładać karmę do miseczki, nalewać wodę do picia, no i głaskać, przytulać i drapać za uszami.

Oboje prawie się nie rozstawali, jeździli razem, gdy tylko się dało. Aż któregoś roku Marta musiała wyjechać na cały tydzień na jakieś szkolenie i nie mogła zabrać Stefana ze sobą. Został pod opieką sąsiadki. Po powrocie Marta najpierw podziękowała sąsiadce za opiekę, która stwierdziła, że Stefan nie przysparzał jej kłopotu, ale wyraźnie za Martą tęsknił. Tym bardziej Marta już bardzo chciała przytulić Stefana. Myślała zresztą, że gdy tylko wjedzie na teren swojej posesji, Stefan będzie czekał na nią na progu, tak jak robił zwykle, gdy wyjeżdżała na kilka godzin, żeby załatwić swoje sprawy. Tymczasem Stefana na progu nie było. Weszła do mieszkania, rozglądając się i wołając kota, ale nigdzie go nie widziała. Dopiero gdy weszła do sypialni, zobaczyła, że Stefan leży na środku łóżka i udaje, że w ogóle jej nie widzi.

– Kituś, co się stało – Marta podeszła do Stefana, przemawiając pieszczotliwie, ale ten wciąż udawał, że nie jest zainteresowany. Czuł się porzucony i był zwyczajnie obrażony. Trzeba go było długo przekonywać i przemawiać do niego, żeby wreszcie po godzinie dał się ugłaskać i laskawie usadowił się na jej kolanach.

Gdy do Marty przyjeżdżali czasami znajomi, przyjaciele lub rodzina, Stefan tolerował towarzystwo, pozwalał się dotykać, a gdy Marta siadała na dłużej, żeby porozmawiać, natychmiast ładował się jej na kolana. Ale gdy towarzystwo stawało się zbyt rozbawione i hałaśliwe, wychodził do sypialni, zwił się w kłębek na łóżku i nie reagował na żadne zaczepki, wołanie ani hałas.

Pewnego wiosennego dnia wpadli na wieś znajomi z pracy. Razem z nimi przyjechała pewna nieznaną Marcie redaktorka z zaprzyjaźnionej gazety. Gdy już wszyscy usadowili się w wygodnych, ratanowych fotelach, a na stole zjawilo się kilka butelek wina, miska salaty, talerz pełen pierogów, a towarzystwo zaczęło prowadzić interesującą dyskusję, Stefan, zamiast usadowić się na kolanach Marty, niespodziewanie wskoczył na kolana redaktorki i rozsiadł się tam wygodnie. Pani początkowo lekko zdziwiona, szybko uznała, że dość fajnie jest trzymać ciepłego kota na kolanach, więc głąskała go od czasu do czasu, a Stefan mruczał zadowolony. Marta była takim zachowaniem Stefana trochę zdziwiona, a nawet poczuła się zdradzona, ale przecież trudno krzywić się na zachowanie kota. Po jakimś czasie dowiedziała się, że redaktorka była poważnie chora, Stefan doskonale to wyczuł i swoją obecnością i przytuleniem chciał jej jakoś pomóc.

Marta przekonała się, że tak właśnie musiało być, gdy sama któregoś wietrznego dnia się przeziębiła i zaczęła kasłać. Gdy już położyła się spać, Stefan nie ułożył się, jak zwykle w jej nogach, ale wdrapał się na koldrę na jej piersiach i grzał jej płuca. Nie wiadomo, na ile jej pomógł wyzdrowieć, ale na pewno wyczuwał choroby i starał się być przydatny.

Jeszcze śmieszniej było, gdy do Marty przyjeżdżał Filip – jej długoletni przyjaciel. Znali się i kochali od wielu lat, ale nie przebywali ze sobą zbyt często. Filip był reporterem wojennym, a ponieważ na świecie trwają wojny, on wciąż przebywał gdzieś daleko i w niebezpiecznych rejonach. Gdy był w Polsce, pomieszkował trochę u siebie, trochę u Marty – zwykle na wsi. Kiedy po kolejnym reporterskim wyjeździe pojawił się w jej wiejskim domu, a było to kilka tygodni po tym, gdy znalazła Stefana, ten od razu potraktował go z dużą rezerwą. A gdy się okazało, że w sypialni już nie może się przytulić do Marty, bo śpi z nią jakiś inny osobnik – po prostu się obraził. Przeniósł się na ten czas na fotel w pokoju dziennym, a rano wymknął się z domu i nie było go cały dzień. Marta zastanawiała się, czy i o kota musi się niepokoić tak samo jak o Filipa. Jeden i drugi chadzali własnymi drogami. Nie miała wpływu na to, w jakim rejonie świata przebywa Filip, podobnie, jak

nie miała wpływu na to, gdzie poza dom i ogród chodzi Stefan. Mogła się jedynie cieszyć, że obaj do niej wracają.

Po pewnym czasie Stefan zaakceptował Filipa na tyle, że się nie obrażał, pozwalał się głaskać, a nawet karmić, gdy akurat Marta zostawiała go pod opieką Filipa na dzień lub dwa. Stefan jednak wciąż nie lubił, gdy sypialnię zajmował Filip, a Marta już nie była wyłącznie dla niego. Z kolei Filip śmiał się, ale też trochę złościł, bo Stefan zwykle czaił się gdzieś obok, gdy się z Martą kochali. Gdy tylko było czuć w powietrzu seks, Stefan pozornie znikał. Ale niezależnie od tego jak długo to trwało, natychmiast gdy kończyli, choć jeszcze byli w sobie wtuleni, Stefan zjawiał się zniecierpliwiony, siadał na nocnym stoliku przy łóżku i czekał.

– No i koniec – mówił wtedy Filip – już przyszedł ten drugi i nie odpuści.

Rzeczywiście Stefan cierpliwie czekał, aż oboje przestaną się przytulać, przeczekiwał wyjście Marty do łazienki, po czym bezceremonialnie ładował się do łóżka między nich i nie pozwalał się przesunąć, ani wygonić. W tych sytuacjach ostatecznie rezygnował Filip. Przenosił się na kanapę, siadał do komputera, albo akceptował kota w łóżku i zasypiali we troje, przytuleni do siebie, jak kto mógł.

I tak to trwało. Tymczasem Filip się oświadczył, wzięli z Martą ślub, sprzedali swoje miejskie mieszkania i osiedli na stałe na wsi. Powiększyli dom, tak żeby było dużo miejsca dla gości, bo wciąż ktoś u nich przebywał. Stefan wypracował sobie sposób zachowania tak, żeby mu nikt nie przeszkadzał, gdy sobie tego nie życzył, miał swoje ulubione miejsca i stałe pory dnia na swoje rytuały – jedzenie, spanie, przytulanie i zabawy. Wszyscy to akceptowali, bo był ważnym elementem domu i rodziny.

Po kilkunastu latach Stefan zrobił się stary. Widać było, że porusza się mniej sprawnie i zdecydowanie bardziej lubi się wylegiwać, niż polować i waleśać się po obejściu. Lubił za to dobrze i dużo zjeść. Dlatego, gdy pewnego dnia tylko polizał jedzenie i napił się wody, Martę to zaniepokoiło. Zaczęła go obserwować. Filip właśnie wyjechał na miesiąc robić reportaż z kolejnej wojny gdzieś w Afryce i Marta została sama ze słabnącym kotem.

Z dnia na dzień Stefan jadł coraz mniej i zaczął chudnąć, więc pewnego dnia Marta wsadziła go do samochodu, choć tym razem nie wywołało to w nim entuzjazmu, i zawiozła do weterynarza. Trafiła na faceta, który zbadał Stefana dość pobieżnie i stwierdził, że wygląda to na mocznicę. Co można zrobić? – spytała Marta. No cóż – odpowiedział – u ludzi robi się dializę albo przeszczep nerek, w przypadku kota – najlepiej uśpić.

Generalnie rzecz biorąc Marta popierała eutanazję. Uważała, że kiedy nie można pomóc, a choroba lub starość przysparza człowiekowi jedynie cierpienie, nie pozwala normalnie funkcjonować, na przykład wstawać z łóżka, gdy nie ma żadnej nadziei, najlepsze dla wszystkich jest bezbolesne przyspieszenie śmierci. Ale teraz w obliczu decyzji, czy ma zabić swojego

ukochanego kota, czy pozwolić mu umrzeć w sposób naturalny, zdecydowała się na ten drugi wariant.

– W takim razie – powiedział weterynarz – podam mu pod skórę mieszanek witamin, żeby go wzmocnić i sól fizjologiczną, żeby go nawodnić. Tak też zrobił, choć wstrzyknięcie czterech dużych dawek pod skórę na karku strasznie się Stefanowi nie podobało, miauczał i wykręcał się, jak potrafił, jednak lekarz był silny i nieublagany.

Po zabiegu wrócili do domu. Stefan wyraźnie niezadowolony. Ale gdy Marta usiała na fotelu i wzięła go na kolana, głaskała i przemawiała do niego, wkrótce uznał, że można już o tym niemiłym incydencie zapomnieć i zasnął.

Przez następne dni Stefan starał się zachowywać jak dawniej, ale było coraz gorzej. Jadł coraz mniej, dużo pił, chudł i wolniej się poruszał. Wychodził z domu tylko po to, żeby się załatwić, ale robił to blisko domu i natychmiast wracał. Leżał na łóżku lub fotelu prawie bez ruchu, w ogóle się nie odzywał.

Marcie krajało się serce, gdy na to patrzyła. Starala się jak najczęściej brać go na kolana, przytulać i głaskać. Stefan przestał w końcu w ogóle jeść i coraz rzadziej pił, nawet nie spoglądał w stronę miseczki. Był coraz chudszy i słabszy. Do tego stopnia, że Marta musiała mu pomagać wejść na fotel i sama kładła go na łóżko, z którego już nawet nie zeskakiwał. Któregoś dnia, gdy poszła do łazienki Stefan po prostu spadł z łóżka i nie bardzo mógł stanąć na nogi.

Było bardzo źle i Marta biła się z myślami, czy jednak nie pojechać ze Stefanem do weterynarza. Starala się pilnować, żeby Stefan pił wodę, poila go pipetą, choć wcale mu się to nie podobało. Mimo to kot przestał siusiać i wiadomo było, że mocznik zatruje mu organizm. W końcu po tygodniu obserwowania, jak Stefan słabnie i coraz bardziej patrzy w stronę kociego raju we wtorek rano przytuliła go mocno do siebie i obiecała, że jeśli nic się nie zmieni, pojadą jutro do weterynarza.

– Przepraszam cię, Stefcu – mówiła do niego – nie wiem, co robić, nie chcę, żebyś odchodził, ale zrobiłeś się taki maleńki i chudziutki, że prawie nie mam się do czego przytulać. Nie wiem, czy cię coś boli, nic nie mówisz, nie podpowiadasz mi, co zrobić. A Stefan przytulony do niej, jak małe dziecko i lepkim na jej piersi, patrzył tylko na nią swoimi zielonymi oczami. Nagle zaczął machać łapkami w zupełnie niekontrolowany sposób. Trwało to tylko chwilę, ale oznaczało, że choroba postępuje coraz szybciej.

Po południu, gdy Marta znów siedziała ze Stefanem w ramionach, tuląc go jak dziecko, przyszedł pierwszy atak drgawek. Zaskoczona Marta mogła go tylko mocniej przytulić. Potem przemawiała do niego pieszczotliwie i całowała po pyszczku, a on tylko na nią patrzył i wydawało się, że czuje się bezpiecznie. Po kilkunastu minutach nastąpił kolejny atak. Marta już wiedziała, bo najpierw rozszerzały się Stefanowi źrenice, a potem targaly nim epileptyczne drgawki, łapki i lepek poruszały się bez żadnej kontroli. Więc

tuliła kota mocno do siebie, a gdy atak mijał, Stefan łapał oddech, przytulał się, źrenice malowały. Było spokojnie przez kilkanaście minut. Potem ataki następowały coraz częściej. Po siódmym Stefan złapał powietrze trzy razy, język w otwartym pyszczku opadł mu na jedną stronę, szeroko otwartymi oczami popatrzył na Martę, westchnął jeszcze raz... i koniec. Trzymała go tak w ramionach przez długą chwilę, jej łzy kapwały na ciepłe jeszcze futerko. Rozstania są rozdzierające. Co mogła zrobić, czego nie zrobiła, czy jednak nie powinna była go uśpić wcześniej, żeby nie dopuścić do takiego końca? Skąd mogła wiedzieć, nikt nie przygotowuje ludzi na śmierć bliskich, niezależnie od tego, czy to człowiek, czy zwierzę. Zawsze nas to zaskakuje.

No cóż, Marta w końcu wstała, ułożyła Stefana na zielonym kocyku. Pogłaskala. Był już inny. Pyszczyk mu się wydłużył, zaczął robić się sztywny od głowy. Puścili zwieracze, więc pojawiło się trochę siusiek, futerko przestało być miękkie. To nie był już Stefan. Może biegał gdzieś po niebieskich łąkach!

Marta zawinęła ziemską powłokę Stefana w kocyk. Znalazła piękne, duże pudelko, w którym go ułożyła. Wzięła dużą łopatę i poszła wykopać grób na fioletowej rabacie. Umieściła pudelko w wykopanej dziurze. Ze łzami przysypała ją ziemią, na wierzch wróciły fiołki. Pomiedzy nimi stanęła mała figurka rudego kota, którą kiedyś dostała od Filipa.

Historia się skończyła.

2.10.2018 – 2.02.2019

Hanna Fołtyn

Iza Galicka

* * *

coraz trudniej nam
spojrzeć w oczy prawdzie
spojrzeć w oczy sobie

wgapiamy się tylko
w bandery ekrany tablety
jakby wszystko co nie ze szklanego włókna
niosło posmak niebezpieczeństwa

to gapiostwo
nie jest już nawet wadą wzroku
lecz stanem umysłu

coraz trudniej nam dotknąć
tego co ciepłe i autentyczne
mięszu własnego ciała
psiej sierści
rzeczywistości

* * *

daj mi tyle wiary
że nie do uwierzenia
i nadziei
na to co się dzieje
miłości pokornej
jak żuczek toczący swą kulkę

a jeżeli Cię nie ma
jeżeli pod pustym niebem
prześwietlamy nasz czas
iskrą zbędnego zapалу

niech będzie
spokój ciemnozielony
jak trawa o zmierzchu
bym mogła ukryć w nim twarz

przed blaskiem
nicości

O układaniu wierszy

układam wiersze
w kołysce mojego umysłu
ostrożnie i czule
jak niemowlęta

czasami układam wiersze
jak puzzle
z wysiłkiem
dopasowując do
matrycy wrażliwości

kiedy indziej
układam je jak mozaikę
z drogocennych kamieni
z uwagą
aby nic się nie potłukło

gdy są już zmęczone
tym ciągłym rodzeniem się
jeszcze raz
z troską matki
układam je do snu

09.02.2020

Bezsenność

druga czterdzieści
dawka kofeiny do żył
absurdalnie
druga czterdzieści pięć
dawka nikotyny do żył
ambiwalentnie
może wejść na fejsbuka
poeci przecież nie śpią

może napisać wiersz nie
wena zjawi się
dopiero o świcie
trzecia zero zero
za wcześniej na pacierz
za późno żeby pójść do nocnego
pluszowa kapa
ostrzega przed miękkim koszmarem
trzecia trzydzieści
zgasło światło w oknie naprzeciw
właśnie zasnęli
a może tylko
ugrzęźli w miłości
czekam
bezwiednie
na co
dochodzi czwarta
dnieje

30.05.2020

Kobiecość

zrzucę szpilki kolczyki tipsy
nawet stringi
wreszcie wolna od akcesoriów
kobiety nowoczesnej
przejrzą się w twoich oczach
zmarszczki fałdki znamiona
pasma siwych włosów
w niszy między
młodością a starością
zobaczysz mnie nagą
czy tylko rozebraną?

30.06.2020

Królowa Nocy

Joannie i wszystkim kotom świata

Siedząc jak zwykle na spadzistym dachu, przebiegała pamięcią kolejne wcielenia. Ile ich było? O, dużo, bardzo dużo. Od czasów tego pierwszego w starożytnym Fajum. Przybierała przez wieki różne skóry, różne postaci, gromadziła doświadczenia. I oto teraz znowu z gracją tylko jej właściwą przechadza się po gzymsie, z daleka od łap rozochoconych samców na podwórzu. Czasami wprawdzie musi zniżyć się do poziomu śmietnika i pobuszować tam trochę, ale to nic. Dobrze wiedziała, co znaczy *panta rhei* – była przecież starą duszą, która ponownie odzyskała swoje prawdziwe, kocie ciało. Była Nut, Królową Nocy i potrzebowała swojego palacu, podziwu, admiracji, skupienia uwagi tylko na niej. A to mógł dać jej tylko człowiek.

Na wół uchylone okno kusilo. Może to właśnie ono jest Bramą? Pierwszego wieczoru przeszła przez nie dość niepewnie. Zatrzymała się na parapiecie. Tak miało wyglądać jej przyszłe Królestwo? Ta skromna izdebka z prostymi meblami i Ona – ta niewysoka kobieta w nieokreślonym wieku i za dużym swetrze?

Jednak chyba właśnie tak, bo drugiego wieczoru czekało na nią mleko na spodeczku. Trzeciego – coś do jedzenia, czego smaku dotąd nie знаła. Ale najważniejsze były oczy tej kobiety – zielone jak jej własne – pełne miłości, podziwu, zmieszanego z odrobiną lęku... Oczy, dla których – wiedziała to – stanowiła cały świat. Tak, to niewątpliwie miało być jej Królestwo. Ale w takim razie musiała coś w nim zmienić.

*

Joannę zafascynowała ta kocica. Była taka... niezwykła. Chociaż na pewno bezdomna i bardzo wychudzona. A jednak w jej ruchach dostrzegало się niesamowity wdzięk i ...godność? Pierwszego wieczoru, kiedy przyszła, Joanna aż zamarła – żeby tylko jej nie spłoszyć! A jednocześnie wiedziała, że będą następne wizyty. Kiedy ich oczy się spotkały, stało się coś naprawdę dziwnego – starsza pani poczuła, że to zwierzę... jest kimś najważniejszym w jej życiu. I że będzie już zawsze. Ze spokojem odłożyła do szklanki sztuczną szczękę i położyła się do łóżka. Przez sen – nie sen – jakiś dziwny letarg raczej -widziała kota, który urósł do rozmiarów człowieka. Wykonywał łapami jakieś dziwaczne gesty nad jej nocnym stolikiem. Rano wzrok kobiety padł właśnie na to miejsce. Przez chwilę myślała, że jeszcze śni, aż musiała się uszczypnąć. Na białej serwetce leżała jej sztuczna szczęką. Lśniła barwą czystego złota.

17.08.2020

Izga Galicka

Marek Adam Grabowski

Pomniki w Śródmieściu

W Śródmieściu pomniki potrafią mówić. Ma tę zdolność każdy z nich. Rozmawiam z nimi od najmłodszych lat. Te z innych dzielnic Warszawy tego nie umieją. Kilkakrotnie próbowałem do nich przemawiać, lecz zawsze efekt był taki sam jak w starym powiedzeniu – Gadał dziad do obrazu, a obraz ani razu. Natomiast u mnie w Śródmieściu rozmowy za każdym razem są ciekawe. Nie sposób wszystkich opisać, więc opowiem tylko o tych, które najbardziej lubię.

Zacznę od Piłsudskiego. Od którego – być może spytacie – wszak Piłsudskich jest w Śródmieściu dwóch. Jeden przy placu własnego imienia, a drugi przed Belwederem. Każdy z nich, twierdzi, że to on jest prawdziwym marszałkiem, a drugi to podróbka. Bardzo się obydwaj nie lubią, wręcz nienawidzą. Ten z placu nazywa, tego spod Belwederu korniszonem. Zaś tamten nazywa go Pumpernikiel. Ja myślę, że jednak prawdziwy Ziuk, to ten przy placu. Być może, dlatego, że jest bardziej rozmowny. Łazienkowski-belwederski zazwyczaj najwyżej coś tam bąknie pod nosem. Placowy zaś to istny gawędziarz. Może godzinami rozpowiadać o dawnych wojnach, o zamachach na rosyjskie pociągi, o pobycie w więzieniu, jednak najbardziej lubi o swoich dawnych kobietkach. Piłsudski jest całkiem fajny, jednak lubię go czasem powkurzać. Mam już dwa najlepsze patenty. Pierwszy polega na tym, iż mówię mu, że zdaniem mojego dziadka Alojzego to Gen. Rozwadowski był naprawdę twórcą planu Bitwy Warszawskiej. Z szacunku dla dziadka wolę nie podawać, jak Piłsudski to komentuje. Drugi jest jeszcze lepszy, pytam go czy to prawda, iż Dmowski przyprawił mu rogi z *Piękną panią*. Ale się wówczas denerwuje. Nawet nie wiem czy ta teoria jest prawdziwa, bynajmniej nie chcę też zdrady pochwalać. Chodzi mi tylko o przyjemność wkurzenia Marszałka.

Zapewne interesuje was czy wspominałem o tym Dmowskiemu (jego pomnik stoi Przy Rozdrożu). Oczywiście, że na ten temat rozmawialiśmy. Zawsze wówczas śmieje się pod nosem, i przyznaje, że Piłsudski ma na tym punkcie kompleks. Potem jednak prosi, żeby Ziuka pozdrowić. Roman (przeżliśmy na ty) jest spokojny i opanowany, wręcz nieco chłodny. Potrafi być niemiłosiernie złośliwy. Już nie będę wspominał wszystkich dogryzek jakimi mnie poczęstował. Ma jednak dużą wiedzę i ciekawość świata. Ciągłe muszę mu coś podrzucać. Głównie są to książki o biologii np. *Samolubny gen* Dawkinsa; i mangi, które pożyczam od siostry. Te mangi to Roman wręcz polyka.

Zupełnie innym typem pomnika jest Chopin, który stoi w Łazienkach. On zawsze wypowiada się enigmatycznie. Czasem mam wrażenie, że mówi sam do siebie, a na mnie nie zwraca uwagi. Mówi, że jest smutny, gdyż nie słyszy własnej muzyki. Słyszy jedynie kakofonię. Nigdy nie doprecyzował co ma na myśli. Przypuszczam jednak, że mówi o samochodach. Pocieszam go, że jest bardzo popularny, że ma nawet własną wódkę, a w Japonii tworzą o nim gry komputerowe. Jednak, on nie reaguje.

Nieopodal jest Pomnik Sienkiewicza. Lubię tam przesiadywać. Kiedyś przyszedłem poczytać Gombrowicza. Spojrzał na mnie z ciekawością i zapytał:

– Co tam masz, Piotrze?

– *Ferdydurke* Witolda Gombrowicza – odparłem. – Nie zna Pan?

– Hymm, to chyba wydano już po mojej śmierci. Od czasu pogrzebu niespecjalnie śledzę nowości literackie. Czy mógłbyś mi tę książkę pożyczyć? Bylbym ci bardzo wdzięczny.

– Spoko – powiedziałem i pożyczyłem.

– Spoko – Sienkiewicz zaśmiał się. – Wciąż gubię się w tych neologizmach. Domyślam się, że masz na myśli spokojnie.

Po kilku dniach znów go odwiedziłem i spytałem o książkę.

– Niezle – odrzekł – a właściwie to świetne. Gdybyś mógł, to pożycz mi inne dzieła tego autora.

– Dobrze, ale jestem trochę zaskoczony. Ludzie twierdzą, że twórczość Gombrowicza jest przeciwieństwem pańskiej.

– Bzdury plotą – parsknął śmiechem. – Oni zapewne każdy przecinek interpretują dosłownie i dlatego widzą różnice, których nie ma. Prawda jest taka, że przy czytaniu literatury trzeba zachować dystans.

Czasem lubię też pójść pod Sąd Najwyższy, żeby pogawędzić z pomnikiem Powstańców Warszawskich. To koledzy mojego dziadka Alojzego z oddziału. Nawet go dobrze pamiętają. Powstańcy są o tyle ciekawi, że często się kłócą o sens ich własnej walki.

– Przez tego Okulickiego osierociłem trójkę dzieci – krzyczy jeden.

– Ale uczyniłeś to na polu walki – kontrargumentuje drugi.

Jeśli już jesteśmy przy temacie Powstania to zaznaczę, że czasem odwiedzam pomnik Małego Powstańca.

– Siema, młody – zawsze się witam.

– Dzień dobry panu – grzecznie odpowiada.

– I co tam porabiasz?

– Bronię Starówki! – mówi stanowczo i automatycznie; jakby był to wyuczony rozkaz.

– Przed kim? – pytam zaciekawiony. – Przecież wojny już nie ma.

– Może wojny już nie ma, ale obrona jest!

Dziwne to, ale czy dziwny nie jest los dzieci bez dzieciństwa?

Dość blisko znajduje się pomnik Jana Kilińskiego. To nurtujące, ale on nigdy nie chce ze mną rozmawiać o własnych bojach. Zupełnie to go nie interesuje. Jego pasją są buty. Ponieważ stoi już od kilku pokoleń, ma pewną wprawę w oglądaniu ich. Podziwia, jak one się rozwinęły, jak jest ich teraz dużo rodzajów. Są emu, lity, glany, trampki, adidas ect. Tego wszystkiego za jego czasów nie było. Uważa, że ta różnorodność obecnego obuwia to najlepszy dowód, iż zgodnie z ideałami Oświecenia ludność idzie w dobrym kierunku i w dobrym obuwu.

Osobliwym pomnikiem jest Kopernik stojący przy Polskiej Akademii Nauk. Nocą nie sposób z nim porozmawiać, gdyż wówczas w milczeniu patrzy na gwiazdy. Za dnia są rozmowy, ale cudaczne. Wczoraj zapytałem go:

– Co Pan dzisiaj robił?

– Myślałem – odparł jednym słowem. Głos jego był niemrawy.

– Ale o czym? – drażyłem temat.

– O tym, że myślę.

Miesiąc temu było jeszcze dziwniej.

– Drogi Piotrze – rzecze nie patrząc mi w oczy – ubolewam nad głupota ludzi. Postawili mi pomnik, za to samo, za co wcześniej potępili. Ludzkość jest taka niezdecydowana.

Dwa najbardziej skłócone ze sobą pomniki to Mickiewicz z Krakowskiego Przedmieścia i Słowacki z Placu Bankowego. Bardziej się nie znoszają niż obydwaj Piłsudscy. Kojarzymy ich z wielką poezją, tymczasem obaj tworzą złośliwe limeryki. Rzecz jasna Mickiewicz o Słowackim, a Słowacki o Mickiewiczu. O swojej dawnej poezji mówią niechętnie. Nawet ją niezbyt pamiętają.

Są jeszcze inne pomniki, ale jak już pisałem nie będę wspominał o wszystkich. Być może niektórzy z was po przeczytaniu tych słów uznają mnie za świra i nie wierzą, że Pomniki w Śródmieściu mogą mówić. Skąd ta pewność, że nie potrafią? Ponieważ nigdy się do nich nie odezwały? A czy oni sami kiedykolwiek sami coś do pomników powiedzieli?

Warszawa 2014

Życie na prowincji jest spokojne

W mieście panuje zgiełk i chaos. Jednak na prowincji żyje się spokojnie. I co ważniejsze, w mieście jest pełno niebezpieczeństw. A na wsi co się może stać? Najwyżej ktoś wpadnie do szamba. Tak przynajmniej tłumaczymy się u nas, jak ktoś znika z dnia na dzień.

Nasza wieś nazywa się Kości Wielkie. Wiem, brzmi to strasznie, ale to tylko przecież nazwa. Jej znaczenie objaśnia sympatyczna legenda. Tu, gdzie leży teraz wieś, w dawnych czasach zbójcy złapali rycerza, który podróżował wraz z żoną. Jego zamordowali, a ją więzili i gwałcili. W końcu zmarła przy porodzie, urodziwszy im czworaczki. Dwóch wstrętnych chłopców i dwie śliczne dziewczynki. Zbójcy wychowali te dzieci. Nie wiedzieli, który z nich jest ojcem, więc każdy miał prawo z nimi współżyć, bez oskarżeń o kazirodztwo. Nazwa Kości nawiązuje do tego, że potem kości rycerza i jego małżonki wałowały się po okolicy. Ponoć mieszkańcy wsi to potomkowie tych urodzonych z gwałtu dzieci. Ja tam jednak nie wierzę w te historyjki. Gdybyśmy naprawdę pochodzili od żony rycerza, to nasi przodkowie nie ubijaliby szlachty.

Jak już pisałem, jest u nas bardzo spokojnie. W przeciwieństwie do miastowych, nigdy nie wzywamy policji. Jak ktoś narozrabia to sami załatwiamy drania.

Tworzymy niewielką społeczność. Rządzi nami soltys Jasiek. W wyborach nie ma kontrkandydatów. Wprawdzie w poprzednich znalazł się jeden, ale wyładował w studni. I to z łańcuchem na szyi. Nie ma więc u nas typowych politycznych klótni.

Soltys jest bogaty. Ma jedną córkę Karolinę, która uchodzi za najpiękniejszą dziewczynę na wsi. Dwa lata studiowała w stolicy, jednak postanowiła wrócić na rodzinne włości. Ma być wydana za największego śmiałka w okolicy. Takiego, co sprostą próbę. Na razie wszyscy, którzy próbowali zginęli. Jednak nowi wciąż się znajdują.

Karolina czeka swojego wybranka, a z nudów para się alchemią. Lubi też tworzyć trucizny.

Nie marnuje więc czasu na typowe bzdurne rozrywki, które lubią dziewczyny w Warszawie czy w Krakowie.

Po soltysie najważniejszy jest ksiądz proboszcz, który mieszka w starym kościółku. Ten kościół ma gigantyczne piwnice. Ma ksiądz dużo roboty, gdyż jest egzorcystą i musi stale wyganiać diabła. A diabła u nas nie brak. Mówi on, że jesteśmy wielkimi grzesznikami. Coś nas więc łączy z miastowymi.

Ksiądz to jedyna osoba na wsi, oprócz córki soltysa, która czyta książki. Ma nawet ładną biblioteczkę.

Trzeci w hierarchii jest owczarz. Ma on wielką hodowlę. Wszyscy go zawsze zapraszają do siebie na wódeczkę. Robimy tak, gdyż go bardzo lubimy. Nie dla tego, że boimy się, iż przemieni nas w wilkołaki.

Jak widzicie są tutaj bliskie więzi między ludźmi. To nie to, co w metropoliach, gdzie cały czas są tylko klótnie i inne zwady. My wybieramy pokój. Nigdy więc nie doniesiemy, że owczarz w piwnicy więzi i gwałci własną siostrzenicę. Nie ma co wkraczać w sprawę rodziny.

Na wschód od wsi jest pole, gdzie pracujemy. Trzeba tylko uważać na południce. Sama praca jest przyjemna. Czasem ktoś wpadnie pod traktor, ale rzadko. Od zachodu granicy z nami las. To miejsce mile i dobre na spokojne spacer. Oczywiście trzeba być wówczas ostrożnym, gdyż niedźwiedź bądź wilk może napaść na człowieka. Ale kto by się tam bał. Jeszcze mniejszym zagrożeniem są ponemieckie miny. Tych niewybuchów zostało już tylko kilka; może kilkanaście. A więc las jest przyjemny. W szczególności polecam tam grzybobranie. Można zrobić świetny sos z tamtejszych muchomorów. Ukatrupi każdego. W głębi lasu są bagna. Łatwo na nie wejść. Trudniej jest potem wrócić. Od strony Północnej znajduje się cmentarz. Tam spoczywają nasi przodkowie, oraz ci, którzy nas odwiedzili w złym czasie. To, że straszą na nim duchy, to tylko jakieś banialuki. Południowa część wsi przylega do jezioro. Wylawiamy z niego różne przedmioty, oraz zwłoki, rzadko kiedy wiemy czyje. Mieszka tam wodnik, ale można go polubić.

Nie często mamy tutaj gości. Co najwyżej UFO wylądować na polanie. Prawie wszyscy wówczas się zbieramy, żeby je powitać.

Jesteśmy prostymi i biednymi ludźmi. Może tak bardzo biedni byśmy nie byli, gdybyście nas częściej odwiedzali. Gdyż w tej sytuacji rzadko kiedy możemy was okraść. Żyjemy z dala od zgiełku waszego świata. Prawie nikt u nas nie posiada komputera, ani telewizora. Większość nie ma nawet radia czy telefonu stacjonarnego. Zdarzają się nawet tacy, co nie posiadają komórek. Wybieramy więc spokój zamiast technologii.

Najbardziej nas interesują codzienne sprawy czyli, nasz chleb powszedni. Na przykład: to czyja córka się z kim zabawia. Jest przecież taki zwyczaj, że jak ojciec się dowiaduje, że jego córka z kimś się zadaje, to wyzywa go na sztachety. Cała wieś się wówczas zbiera, żeby gromadzi to widowisko.

Żyjemy monotonie i właściwie to samotnie. Dalsze wsie są daleko od nas. Nie liczę wsi Zbyszki Małe, gdyż tę, już dawno spaliliśmy.

Właściwie, jedyna osoba spoza wsi z którą mamy stały kontakt to Baba Jaga. Mieszka ona w lesie, w małym domku z mnóstwem czarnych kotów. To dwuizbowa chata z piwnicą. Jest Jaga niezwykle potrzebna dla naszej społeczności. Ona nas leczy i ona zdejmuję nasz kłatwy. Ona też pomaga nam pozbyć się złych stworów. Inna sprawa, że większość chorób, kłatw i wspomnianych stworów to jej sprawa. No cóż, odpowiada nie tylko za podaż, ale również za popyt. Prawdziwa bizneswomen.

Ponoć nocą Jagę odwiedza sam szatan. Ma z nią spółkować. Gdyby tego nie robiła, to straciłaby całą swoją moc. Myślę, że ta historia to bujda na resorach. Wystarczy spojrzeć na jej zmarszczki i zadać sobie pytanie: Czy diabeł może mieć taki gust?

Co trzy miesiące wsiada ona na swoją miotłę i leci na spotkanie z psiapsołkami. Te spotkania przy herbatce odbywają się na Łysiej Górze.

Ksiądz proboszcz jej nie cierpi. Mówi, że to jawnoгрzesznica i kto korzysta z jej usług, nie powinien przystępować do komunii. My jednak jesteśmy tacy; i dla Pana Boga świeczka, i dla diabła ogarek.

Nasze dzieci nie są zepsute jak warszawskie. Nie grają na komputerze i nie czytają komiksów. Zamiast tego mają proste i grzeczne zabawy. Bardzo lubią przykładowo zabijać kamieniami bezpańskie psy. Lubią też dusić kury. Ale w tym jest problem, gdyż wówczas może to zobaczyć właścicielka tych ptaków. Wtedy goni ona te bachory z miotłą. A czasem nawet i z nożem. Wtedy zabawa związana z ucieczką jest jeszcze fajniejsza. Tylko trzeba zdążyć uciec. I tak to jest u nas na wsi. Nudno, ale spokojnie i bezpiecznie. Jeśli jesteście, zmęczeni zgiełkiem wielkiego miasta możecie nas kiedyś odwiedzić. Wiele tu nie zobaczycie, ale będziecie nas dobrze wspominać, jak wrócicie do domu.

Jeśli tylko wrócicie...

Warszawa 2018

Marek Adam Grabowski

Jolanta Maria Grotte

Niezapomniany lot

Z Samarkandy grupa leciała samolotem do Alma-Aty. Do największego miasta – stolicy wielkiego Kazachstanu położonego na terenie charakteryzującym się dużą aktywnością sejsmiczną; obszary częstych i silnych trzęsień ziemi.

Przywiezieni na lotnisko byli zaskoczeni samolotem, jaki na nich czekał.

– Wygląda jak szybowiec – zwróciła się do Saszy Marysia.

– Takie tu latają. Odcinki przelotu są krótkie, no i teren górzysty.

– Mały samolot... Czy my się w nim pomieścimy? – zaniepokojona popatrzyła na Saszę.

– Dla nas na pewno są miejsca. Leci z nami jeszcze kilka osób. Widzisz je? O tam, stoją przy samolocie przy skrzydle.

– Tak widzę – odparła, bacznie obserwując kobiety w długich kolorowych szatach aż do ziemi. Każda z nich trzymała w ręku kosz. Wystawiały z nich głowy gęsi, kaczek, kur oraz innych zwierzątek gospodarstwa domowego.

Do samolotu weszła najpierw grupa turystyczna. Samolot malutki, w środku z każdej strony po jednym rzędzie pojedynczych miejsc. Przejście między rzędami bardzo wąskie. Do tyłu samolotu można jedynie było przejść, ustawiając się bokiem z wciągniętym brzuchem, trzymając bagaż nad głową. Gdy grupa zajęła miejsca, Marysia usłyszała klótnię toczącą się na zewnątrz samolotu. Okazało się, że kobiet było pięć, a miejsc wolnych w samolocie zostało trzy. Zrobił się problem. Żadna nie chciała ustąpić, zrezygnować z lotu. W tej wielkiej głośniei wrzawie o mało nie pobiły pilota. Nie mając wyjścia, pilot w końcu zgodził się by zabrać wszystkie. Jedna przez drugą pchały się do środka, chcąc zająć miejsce siedzące. Dwie, dla których zabrakło miejsc w fotelach, usiadły na podłodze samolotu, między rzędami. Przeróżliwe geganie i kwkanie przestraszonego ptactwa rozlegało się głośno w samolocie. Zrobiło się duszno. Wystająca z jednego kosza gęsia szyja przez cały czas niezapomnianego lotu oparta była na ramieniu Marysi. Którejś kobiecie kura wyskoczyła z kosza i biegła po wszystkich, nie dając się złapać nikomu. Lot trwał półtorej godziny. Ale ten czas Marysi i wszystkim uczestnikom wycieczki wydawał się wiecznością.

Samolot nie leciał wysoko. Z małych okienek widać było szczyty gór Tien-Szan, łańcucha górskiego ciągnącego się z Azji Środkowej aż do Chin.

Sasza, zanim jeszcze wsiedli do samolotu, zdążył opowiedzieć wiele ciekawostek na ich temat. Marysię najbardziej zainteresowała opowieść o jeziorze Issyk-Kul, które mieli dostrzec z samolotu pod koniec podróży. Zadziwiło ją, że jezioro jest słonawe, bezodpływowe, pochodzenia tektonicznego,

a nazwa Issyk-Kul po kirgisku znaczy Jezioro Ciepłe. Nie zamarza nawet wówczas, gdy temperatura powietrza spada zimą do minus czterdziestu stopni Celsjusza.

Na początku lotu pogoda dopisywała, widoczność była bardzo dobra, ale jak to w górach, mogła się zmienić z minuty na minutę. W pewnej chwili rzeczywiście zrobiło się ciemno, pojawiły się groźne ciemne chmury deszczowe i zaczęła się gwałtowna burza. Pioruny waliły ze wszystkich stron. Zaczął wiać silny wiatr, samolotem rzucało jak zabawką. Wstrząsy były tak silne, że z koszy powypadało kilka kaczek i innego ptactwa. Szarpało nami na wszystkie strony. Pasażerowie odnosili wrażenie, jakby wiatr chwytal za skrzydła samolotu i chciał je wyrwać z kadłuba. Gwałtownie opadaliśmy w dół, po czym szybko wzbijali znów w górę. Zapadła grobowa cisza, każdy słyszał bicie własnego wystraszonego serca. Nikt nic nie mówił, nawet ptaki cicho siedziały, czując zagrożenie. Nic nie było widać, ani szczytów gór, które mieli pod sobą, ani skrzydeł maleńkiego samolotu. Nawet Sasza się nie odzywał. Obserwował tylko pilota zmagającego się z maszyną, by utrzymać ją bezpiecznie w czasie tej gwałtownej burzy. Było widać, jak jest spięty, jak modli się w duchu, by dotrzeć do celu i bezpiecznie wylądować. Strach ogarnął wszystkich podróżnych. Widzieli walkę pilota zmagającego się z trudnymi do okiełznania siłami natury. Po pół godzinie takiego lotu nagle zjawili się blade słońce, przebijające się przez chmury. Uciął wiatr i maszyna znów spokojnie leciała. Na twarzy pilota pojawiło się odprężenie. Pokonał swój własny wielki niepokój, paraliżujący go jeszcze przed chwilą. Pasażerowie zaczęli bić brawo i głośno krzyczeć:

– Mistrzu! Mistrzu! Jesteś wielki! Huraaa! Dziękujemy! Dziękujemy!

Wołali wszyscy razem. Nawet ptactwo w koszach zaczęło gęgać i kwakać, jakby rozumiało wszystko, co się wokół dzieje. Pilot uśmiechnął się, podziękował za słowa uznania, wycierając gęste kropelki potu z czoła. Samolot wylądował w Alma-Acie bezpiecznie. Wychodzący pasażerowie, dziękowali pilotowi z całego serca, ściskając mocno jego rękę na pożegnanie.

To była niedługa podróż, ale bardzo wyczerpująca i niezapomniana. Cała grupa zaraz po kolacji legła w swoich pokojach wykończona wielkimi lotniczymi emocjami.

Po powrocie do domu Marysia szczegółowo opowiedziała rodzicom, co widziała i co zdarzyło się na wycieczce. Marianna i Stanisław z wielką ciekawością słuchali opowieści córki, wyobrażając sobie miejsca, w których była. Jednak historia o niebezpiecznym locie do Alma-Aty zmroziła dosłownie krew w ich żyłach...

Henryk Kamiński

Kolęda

Gwiazd jasnych mrowie na nieboskłonie,
jak w dekoracji błyszczą mrugają.
Czas się zatrzymać i spojrzeć na nie,
gdyż rankiem od nas się oddalają.

W grudniowy wieczór wraz z Mikołajem
gwiazdy szukamy – tej, co nie gaśnie.
Czy z głębi duszy, czy ze zwyczajem?
Widzieć ją chcemy, kiedy się zaśnie.

Snów pod gwiazdami mamy bez liku,
niech one zawsze radosne będą.
Dla gospodarzy i biesiadników,
dla dzieci – co idą z kolędą.

Walentyna Karwowska

Linie papilarne nieba

Jak on wygląda
Czas, który...
Czy ma duże oczy
Czy robi obroty
Dookoła twojej głowy
Dookoła źrenic
Na ile chwil się dzieli
Nie słyhać kroków
Czy usypia nocą
Bez poduszki
Na kamieniu
Na gałęzi
Na włosach
Na ustach
I rodzi się nieustannie
W okamgnieniu coś nowego
Ciebie
Bezgłośnie
Płaczesz za wolnością swoją
Za pierwszym razem
A on rozrywa ciszę nocą i dniem
Patrzysz przez szczeliny
Myślisz że to nie ty
Nie przywołuj
Nie prosz
On jest ognioodporny i wodo
Dosiądź go i bądź
Zapamiętaj co mijasz
Zielone światła na łące
Szarość aksamitu mgły
Szum liści
Dotyk
Płatka śniegu i kamienia
Ciepła oczu
Miękości obloków – linii papilarnych nieba
Jakby to miało się nie powtórzyć
Zapamiętaj

Na chmurze puszystej

Płynę
Kresu nie widzę
Zobaczę
Dopłynę
Odnajdę ciebie
Zamkniemy ogień w butelce
Nakryjemy się płaszczem łąki
Na Ziemi
Pełni siebie będziemy śnić
O przetaczaniu miłości
Jak krwi
Rankiem na jawie
Pełni siebie
Schowamy sny pod poduszkę
Damy im ciszę i ciepło
Na kolejne dni

Wszędzie cisza

Tupotem serca pragniesz jej
Potrzebujesz ciszy

Znajdujesz w kielichach kwiatów
Między płatkami skrzypiącego śniegu
W upadającym z drzewa liście
Między ustami
W zgielku

Każdy twój ruch wypełnia
Zaczyna i kończy
Chodzi z tobą
Wypełnia małe miejsca
Zawiera treść między słowami

Cisza obecna w tobie
Jest wszędzie

W złotych ramach

Mogę cię zamknąć w zamkowej wieży
Mogę przytulić
Albo zaprosić na śniadanie na trawie
I na przedostatnią wieczerzę
Krzyczyć i koić
Słowami i pędzlem
To sposób, żeby być z tobą
I nie odmówisz
I nie wymkniesz się
Będziesz ze mną na wernisażach
I spotkaniach autorskich
Owieje nas wiatr i nie zatrzyma
Poniesie czas
Sztukę w ramach symfonii Ziemi

Alarm

Nowy świat odmieniony
Bryły drapaczy chmur
Ze szkła, żelaza, betonu
Jakby bez ścian
Okna same
Bez pelargonii

W nowym świecie zamknięty człowiek

Tylko wiatr w szczelinach wieje
Jak wiał
A ty nie słyszysz szumu liści
Ani deszczu
Nie czujesz ciepła gwiazdy
Twoje dzieci nie słyszą
Wolania na obiad
Nie rzucisz im piłki – tak wysoko
I do kultury
Tak nisko
Tylko wiatr...
W nowym świecie wieje jak wiał

Korekta przemijania

Nie przestrzega znaku stop
Żaden dzień nie powtarza się
Wiele nauk i mądrości babć
Skalpelem przemijania
Koryguje czas
Nie śpieszy się
Próbujesz zatrzymać go
Próbujesz mierzyć
Różnymi jednostkami
On niezmiennie taki sam
Trwając odmienia świat

Wczoraj był miły dzień

e-Człowieku

Dla twojego dobra
Dla ułatwienia

Bez wychodzenia z domu
Robisz zakupy
I te ratujące życie e-recepty
Nie musisz pamiętać
Serwerownia steruje twoją e-pamięcią
Mózg otrzymał wypowiedzenie swoich funkcji
Ta najcenniejsza dotąd tkanka
Staje się zbędna
W twoim e-życiu

W atmosferze pogody

W atmosferze pogody
Stęsknieni czekamy
Otuleni bielą i ciepłym słowem
Ufni
Że „Jest taki dzień...”

Trzymamy miejsce przy stole

Żebyś się ogrzał i posilił
Był z nami
Ufni
Że „Jest taki dzień...”

Tak było kiedyś
Dzisiaj za drzwiami przeciwwłamaniowymi
Z włączonym alarmem
Dbamy żeby miejsce przy stole puste zostało
A zbląkany wędrowiec kwituje świąteczną paczkę
Na historycznym placu zajmuje miejsce przy stole
Zagubiony w labiryncie dróg
Ufny
Że „Jest taki dzień...”

Wdech – wydech

Słyszalny jest ból
Ziemi
Jak twój
Widzialny jest kształt
Ziemi
Jak twój

Łatwo można Ziemię dotknąć
Jak ciebie

Nie dotykaj
Nie dotykaj

Rzecz o kamieniu

Antropocen jest epoką najgroźniejszą dla ludzkości i Ziemi, zrywającą z naturą. To epoka gwałcenia wszystkiego i samego człowieka tak zwanym rozumem.

Rozum to wadliwe narzędzie, ale lepszego nie ma.

Kamień jest skalą o różnym kształcie, wielkości i w różnych kolorach. Mimo swojej niejednorodności lub dzięki niej służy człowiekowi, o czym człowiek nie pamięta.

Jest na tyle duży, że po jednej stronie ludzie chodzą do góry nogami. Obraca się w przestrzeni kosmicznej.

Posługuje się nim biblia „Kto jest bez winy niech pierwszy kamień rzuci”.

Jest stosowany w opisach: „Nie został kamień na kamieniu”, to znaczy, że wszystko zostało zniszczone.

Podobnie „Trafiła kosa na kamień”, czyli że ktoś nieustępliwy walczy z kimś tak samo nieustępliwym.

Mówię tu o kamieniu, moim ulubionym, o Ziemi. Zawsze stoję w jej obronie.

Nie wolno wręcz mówić, że kamień przeszkadza na przykład rolnikowi. Dobry rolnik umie go uszanować. Zastosuje do budowy i upiększenia domu, drogi, nie tylko szyi kobiety. Kamień to nie tylko diamenty czy marmury.

Wszystkie kamienie, od piasku na plaży po duże granity i te już wymienione, dają życie i są żywe. One rosną i oddychają, a traktowane są jak martwe. O ten skarb dbam. To najlepszy mój Przyjaciel, Przyjaciel ludzkości. Ponieważ nie posiada ludzkiego tak zwanego rozumu, nie robi nikomu krzywdy. Lawiny kamieni są skutkiem naturalnych ruchów Ziemi, ale śmiem twierdzić, że w większości brutalnej działalności człowieka.

Chodząc po kamieniach, tak zwanych kocich łbach, gładkich, kolorowych, po chodnikach, po piaszczystych drogach, lub sadząc rośliny czy drzewa, spacerując lasami rosnącymi na piaszczystych wzniesieniach albo wędrując górskimi ścieżkami i patrząc na Ziemię, nie uświadamiam sobie, że wszystko jest kamieniem, że wszystko się odbywa na kamieniu i na jego drobinkach.

A kamieniowi, nie wiadomo z jakiego powodu, brakuje należnego szacunku i uwielbienia.

Gotowa jestem przyjąć jakiś mit na jego temat, chronić go i wierzyć w jego przyjaźń.

On się tworzył dzięki zmianom temperatury, ciśnienia i wielu innych czynników, przez miliardy lat, i nadal się tworzy. Wszystko zamienia się w kamień. W połączeniu z wodą jest moim życiem.

Czyż nie największym i najbardziej przyjaznym człowiekowi kamieniem jest Ziemia? Jest moim schronieniem, mieszkam w nim. Noszę go w sobie, na sobie i w sercu.

Mówi się niesłusznie, że ktoś jest z kamienia, że ma kamienne serce, że kamień jest twardy i mocny, a naprawdę kamień jest kruchy i bardzo wrażliwy. Wymaga dużo ostrożności i delikatności. Zasługuje na najwyższą uwagę i czułość. Jest pięknem i bogactwem.

Co zostałoby z naszej planety po usunięciu kamieni? Co, jak i gdzie?

Nie chcę o tym nawet myśleć.

Gdyby nie kamień, zabrakłoby pomników: Fryderyka Chopina, Adama Mickiewicza, Mikołaja Kopernika i innych obiektów. Kto i jak sięgnąłby po kamienie z Saturna, Merkurego czy Wenus?

Kamień jest zauważony przez człowieka, na tyle, na ile umie go wykorzystać dla swoich potrzeb i też nie zawsze. Kto myśli, jedząc posiłek, że jego micha jest z kamienia? Liczy się to, co micha zawiera, żarcie, a nie micha, która jest kamieniem i zasługuje na najlepsze. Kto podziwiając drewniane wiatraki, trochę ich zostało, zastanawia się nad tym, że w nich powstawała mąka na chleb przez zastosowanie kamienia do mielenia ziaren.

Kamień nie rozmnaża się, ale przeobraża się, więc przyjmuję, że żyje.

Nic trwalszego od kamienia nie wymyślono, ale nie jest to rzecz wieczna i warto o tym pamiętać.

Z tego powodu, bez udziału człowieka, najdłużej trwają piramidy, mur chiński i inne kamienne obiekty.

Kamień, kamień, kamień. Chcę go ocalić, chcę pomóc. Patrzę i wszędzie mój kamień – Ziemia.

Jak długo przeżyje, jak długo będzie miejscem życia człowieka? Do końca? Jakiego końca?

Gdyby było wiadomo, kto dłużej przeżyje, kamień czy człowiek, to człowiek byłby inny. Nie wiadomo czy lepszy. Czy lepiej wykorzystalby swój nadzwyczajny tak zwany rozum? Kamień nadal będzie podległy człowiekowi, do kiedy ten będzie istniał jako gatunek.

Człowiek zrobił wiele ważnych rzeczy. Wiele też złych. Czego więcej? Nie wiadomo.

Czy on to badał? Czy bada? Nie wiadomo.

Czy starania ekologiczne wychodzą Ziemi na zdrowie?

Walentyna Karwowska

Jerzy Kawiak

Czekam na...

Czekam na uśmiech,
szczęściem pachnący.

Czekam na dotyk,
delikatny, gorący.

Czekam na porywy,
serca nieznane.

Czekam na usta,
uśmiechnięte, kochane.

Czekam na każdą
drobinę Twojego ciała.

Chciałbym je całować
gdybyś tylko chciała.

Lecz Tobie moje
zamiary są obce.

Mówisz, że patrzysz
za innym chłopcem.

Przyjmuję i szanuję
Twoje zdanie.

Moją ukochaną
nie zostaniesz, kochanie.

Warszawa, 17 kwietnia 2021

Deszcz

Deszcz jak para wodna
osiadł na łyżeczce od herbaty.

Niagarą wpłynął między ludzi
by gasić pragnienie buntu.

Chłodził rozpalone głowy
i obmywał stopy znużonym.

Świat zlagodniał
i ciągle potrzebował.

Ludzie cierpieli przez klimat,
który zniszczyli.

W atmosferze nie było już
żadnej wilgoci.

Zrobiło się smutno
bo Miłość też wyparowała.

Warszawa, 28 września 2020

Igiełka i płatek

Spadła igielka świerka na śnieżny płatek.
Dała słodkiego całusa na zadatek.
Porwał ich wiatr przytulonych do siebie
będą wędrować po błękitnym niebie.

Igielka pachnie, lśni zielonym kolorem,
płatek emanuje niespotykanym wzorem.
Poznają wzajemnie swoje zwyczaje,
że igielka nie więdnie, a płatek nie taje.

Miłość zakwitła, lecz nie będzie gorąca
bo płatek by się stopił od niej jak od słońca.
Będą radośni do wiosennych promieni,
wtedy się wszystko między nimi zmieni.

Płatek będzie kroplą, a igielce czas nie mija
ona będzie z tej kropelki wspomnienia pila.
Może z tych wspomnień świeczek wyrośnie,
będzie wierzył i przypatrywał pięknej wiosnie.

Wierzcie – warto wierzyć, bo jak się prosi,
los w darze nam samo dobro przynosi.

Warszawa 29 listopada 2021

Piórko pawia

Twoje oczy jak gwiazdy
na błękitnym niebie.
Płynę obłokiem do Ciebie.

Masz ciało pachnące,
delikatne jak mgła na łące,
usta to słońce gorące.

Dotykam piórka pawia
potęguję miłosne dreszcze
prosisz o więcej jeszcze.

Nasze ciała przy sobie
jak strumyki w rzekę się splatają
sobie siłę, a nam miłość dają.

Warszawa, 22 października 2020

Twój portret

Jesteś piękna, jesteś śliczna
radosna, delikatna – eteryczna.
Jesteś wspaniała i kochana
będę mówił to od rana.

Twoje suknie, Twoje stroje
zachwycają nas oboje.
Twoja buzia, Twoje oczy
i doleczek w niej uroczy.

Masz kształtną głowę, delikatne ręce
czy można chcieć coś więcej?.

Masz piękną pierś i całą postać
nic nie zmieniaj, tak ma zostać.

Ktoś Cię kocha, jak kocham ja?
Kto jeszcze taką piękność zna?
Kto Cię poznał, to nie zaprzeczy,
jeśli jest znawcą pięknych rzeczy.

Myślę o Tobie i wspominam,
już od rana tak zaczynam.
Myśl Twoja mnie poruszyła,
że pamiętasz i jesteś miła.

Że Cię kocham, chyba wiesz
coś na dowód jeszcze chcesz?

Warszawa 23 marca 2021

Jerzy Kawiak

Barbara Kołacz

Album z muzyką

Na fotografii z lat dwudziestych
wiejski muzyk zgarnia nuty na smyczkach
i żwawą melodią zaprasza do oberka.

Czepcowa podparta pod boki
przygaduje starościnie
weselną przyśpiewkę.

Przydrożna karczma przytupuje z uciechy,
sagan z kaszą podskakuje na fajerce
niczym ludowa perkusja.

Kawalerka pogwizduje wesoło,
udając leśne szczygły.
Panny otrzepują spódnice z kurzu,
zakręcone w tańcu warkocze
smagają zaczepnie zalotników.

Tumult taki, że aż drzazgi lecą z podłogi.
Tubalny śmiech przetacza się jak kragły księżyc
gorącym czerwcem po weselnikach.
Pod powiekami brzmi jeszcze tamta muzyka.
Z dotyku poźółklej tekturki
przeszłość staje się terażniejszością,
zamknięta w futerale kruchej pamięci.

Ballada osiedlowa

Poeta Leszek D. wyśpiewał wiersz o Brackiej
Troszeczkę krzywej i z lekka wariackiej
Franciszek M. wymalował uliczkę bajeczkę
Na której wcale nie pada,
Chociaż Grzegorz T. zapewniał, że tak

Moja ulica nie jest ani trochę liryczna,
Choć to mój kawałek świata
Fortepian na niej nie przygrywa

Za to jak kastaniety dzwonią kolorowe puszeki
I tańczą od wypłaty do wypłaty
W śmietnikowych sezamach za dwa złote

Nad osiedlem poezja płynie wieczorami
Gdy szklany ekran kokietuje
Mydłanym rajem dla dorosłych

Mieszkam wśród swoich, ale jakby obca
Czy jeśli zamienię się czasem,
Przestrzenią i powietrzem,
Zanucę inną balladę osiedlową?

Mocne wrażenia to nie wewnętrzne impresje
To brzęk szkła po północy
I krzyk, od którego kuli się księżyc,
A ptaki spadają z drzew

Żongluję pustymi ziarnami
Z których nie wyrośnie zielone źdźbło
Więc dlaczego nie potrafię się odnaleźć
I powędrować gdzieś na Bracką

Co śpiewa jeszcze swoim głosem
Przy którym wiatr i deszcz i słońce
Pachnie i smakuje świeżością i zachwytem

Droga

przerzucona między wczoraj a dziś
przypięta bladymi szpilkami powietrza
do okruchów pamięci
błądzi w wysokich chmurach myśli

kłosy zbóż wyzłoczone słońcem
otulają jej samotność
ciepłym uśmiechem natury

stara kobieta przysiadła na ławie
przed chatą w rumieńcach lipca
wśród ziół pachnących wiejską ciszą

spracowane dłonie oparła na kolanach
w oczach spłowiałe niezapominajki oczekiwań,
co były chlebem, solą i snem

w zmarszczkach przeżytych lat
zapisła się historia jej życia
jak ziemia pełna polnych grud i kamieni
wiosną dzwoniąca skowronkami
zbiegająca ze wzgórza w zielonym wieńcu
by pod wieczór ogrzać się welniakiem

mąż spogląda wciąż tak samo
z pożółklej fotografii ślubnej
a syn ciągle jest młodym chłopakiem
ścigającym się na motorze

przemierza po raz tysięczny tę samą drogę
czeka jej kresu bez trwogi
z wolna przesypując po raz kolejny
ziarna dni

Macierzyństwo

(według Marca Chagalla)

na jej fartuchu zakwitły jasne kwiaty
żdźbło trawy odbija się cieniem
na twarzy skupionej
w oczekiwaniu macierzyństwa

obłok oderwał się od ziemi
i unióśł cały trud spracowanych rąk
w świetliste asteroidy

księżyc jak dziecinna kołyska
tańczy wśród tkliwych słów czułości
rozprażony rodzynekami marzeń

czerwień i biel przenikają się
szarymi płachtami zmierzchu
ziemia oddycha aksamitnym powietrzem

jeszcze zielonoskrzydłe ptaki
zdążyły zatoczyć półkole
nad oraczem i jego koniem

nawet koza ma swój kawałek szczęścia
i szybuje jak balonik nad chatami –
strażnikami chłopskiej tradycji

kiedy kolory przemieniają się w smaki
z pęku białych kwiatów
narodzi się dziecko

Wiślane przebłąski

podpływam warszawską skutą
pod most Świętokrzyski
by podejrzeć rzeczne sekrety

Wiśła jak kapryśna kobieta
zakochała się w prawym brzegu
rano przymglona i niedospana
leniwie przetacza wachlarze wody.

w południe nabiera wigoru
i po wiosennej przepierce
wabi wioślarzy i flisaków.

od strony Pragi jej powab
uwieczniał Bacciarelli –
skarpe i zamek i farę.

a kiedy zmruży się oczy
dostrzec można rybaków
piaskarzy i młyny.

dzisiaj prom jak wenecka gondola
przewozi zakochanych na praską plażę
a rzeka spina oba brzegi kłamrą miłości.

gdy słońce cale w rumieńcach
umawia się z nią na wieczorną schadzkę

Wisła-kokietka nabiera blasku
i królewskiego przepychu.

mewy ze śmiechem
przecinają gasnące promienie
które czerwono-złotym refleksem
kładą się miękko na jej falach.

zielona czupryna drzew
okala małe wysepki
piaszczyste łachy
i niebezpieczne ostrogi

kiedy wody skryją się na dnie
uciekając przed żarem dnia
rzeka odsłoni zrabowane skarby
i zanuci wieczorną serenadę
o zamkach, warowniach i spichlerzach
przyklejonych jak plastry miodu
do jej życiodajnego płaszcza

Barbara Kołaczk

Beata Ewa Komarnicka

Wiersze dla dzieci

W domku na wsi

W domku tym kilka dni spędziliśmy,
Zaraz opiszę co widzieliśmy:

Wróble na dachu, myszkę na drodze,
Dwie lisie jamy, boćka na nodze

Lewej, choć potem zmienił na prawą,
Gdy się ze słupa rozglądał żwawo,

Stado jaskółek, gdy sejmik miały,
Druty za domkiem pozajmowały,

Także zajączka całkiem małego,
Nie chciał wyskoczyć z sadu naszego,

Bażanta z całą swoją rodziną,
Gdy ogon składał ze skromną miną,

Głuszca, którego żeśmy spłoszyli,
Przy tym się sami ciut wystraszyli,

Dwa myszolowy, pięć nietoperzy,
Stracha na wróble, co się wciąż szczerzy,

Wiadukt donikąd, albo do Pradła,
Żabę, gdy na kamieniu sobie usiadła,

Chłopców, jak tamę piękną robili,
Świetnie w jezioru swym się bawili.

I górę wielką na krok od domu,
Co wielorybem jest po kryjomu.

I koncert świerszczy, zawsze przed spaniem,
Wszystkich zachwycić chciały cykaniem.

I tak wyliczać do rana mogę...
Lecz chyba lepiej wskażę wam drogę.

Sen Krzysia

Stuk, stuk, stuk, o szóstej rano,
Puk, puk, puk, coś Krzysia budzi.
Czy to dzięcioł hałasuje,
Tak od świtu już się trudzi?

Albo bocian, co klekocze
Swoim dziobem dwumetrowym.
Myszy z norek chce wypłoszyć,
Nim wyruszy dziś na lowy.

Albo kowal, dla koników,
Wciąż podkowy ciężkie kuje.
W rozżarzony metal stuka
I od świtu je szykuje.

Krzysio oczka swe przeciera,
„Czy to noc, czy dzień już biały?
Kto mnie budzi o tej porze?
Brzydkie robi mi kawały?”.

Ach, to deszcz w parapet stuka,
Bębni, dudni, tak od nocy.
I Krzysiowi sen przerywa,
Wakacyjny i uroczy.

Krzysio oczka znów zamyka,
Teraz deszcz kropi leciutko.
Wreszcie dzięcioł, bocian, kowal,
Zachowują się cichutko.

Czary-mary

Krowa je trawę zieloną,
Lecz białe mleko z niej leci.
„Jak to możliwe?” – pytają
Panie, panowie i dzieci.

A kozy wszystko jeść lubią,
Tak samo duże i małe,
Trawę, i siano, i liście...
Ich mleko także jest białe.

A jakie mleko nam dają
Owce, co biegną po hali?
Też białe. To oczywiste.
Możesz się spytać górali.

Jak to się dzieje?- Wciąż słyszę.
Już odpowiadam, nie zwlekam.
Każde z tych miłych zwierzątek
Ma w brzuchu fabryczkę mleka.

Bal w lesie

Popatrz, jak drzewa tańczą,
Wiatr im jesienny przygrywa,
Wierzby, w sukniach do ziemi,
A dąb w smokingu się kiwa.

Świerki nisko skłaniają
Swe głowy w szyszki zdobione,
A sosny igielki gubią
I śpią na wszystkie strony.

Już ptaki się niepokoją
Tym tańcem lasu szalonym,
Bo domy ich, wśród gałęzi,
Do płasów drzew zaproszone.

Lecz wiatr już kończy swój koncert

Ostatnim lekkim podmuchem
I wszystko do snu układa
W mroku tej nocy poduchę.

Moja jesień

Moja jesień nie jest smutna,
Ani szara, oczywiście,
Lecz wesoła, kolorowa,
Jak tańczące w słońcu liście.

Moja jesień z babim latem,
Koszem grzybów, jarzębiną
I z ludzików kasztanowych
Kochającą się rodziną.

Moja jesień z kluczem gęsi,
Z wodą w prawie czarnej chmurze,
Z jeżem, gdy cichutko tupie,
Żeby w liści zasnąć górze.

Moja jesień z kaloszami,
U dorosłych i u dzieci,
W pelerynie, z parasolem,
Nawet kiedy słońce świeci.

Moja jesień, gdy odchodzi,
Nowa pora się zaczyna,
Lecz ja wcale nie żałuję,
Bo się zbliża... moja zima.

Beata Ewa Komarnicka

Klara Kostrzewa

Matko i Duchu – *Dzień Kobiet 2020 r.*

Szukam Cię Matko,
Szukam Ciebie Duchu.
Kiedyś byliśmy jednym – ja z Wami, w Was, a Wy ze mną, w nas.
Wciąż pamiętam ten obraz z dziecięcego czucia.
Pozwoliłam go sobie odebrać, oddać bez walki w imię domniemanego
[szczęścia, leżącego gdzieś na krańcach uludy z iluzją.

Złość!
Zrozumienie.
Trudne autoprzebaczenie.

Was, siebie na nowo dziś szukam
Czasem chwytam przebliski bycia,
Całkowicie wtedy znów ufam,
że dokonałam odkrycia.
Raz nastał ten dzień,
gdy znów byliśmy razem.
Pełnia szczęścia?
Pełnia rozczarowania.
Pełnia rozczarowania?
Nie.
Zrozumiałam, że jam już nie ta sama...

Złość!
Zrozumienie.
Trudne autoprzebaczenie.

Czas wrócić do siebie mi wtenczas,
Stać się tą, co u progu byłam
tą samą istotą, co wówczas,
kiedy to świat cały kochałam,
kiedy ze światem w jedno się stapiałam.

Matko, Duchu, wciąż we mnie trwacie,
Tylko już dawno w głąb siebie nie spojrzałam
swoimi oczami, a nie innych wejrzeniem.
Przepraszam, że siebie porzuciłam,

Przepraszam, że Was odrzuciłam.
Złość!
Zrozumienie.
Trudne autoprzebaczenie.

Za głosem świata poszłam bezmyślna,
I choć wierzyłam mocno, że Miłość spotkałam,
Było inaczej, o jak kapryśna
ślepą ucieczkę wybrałam.

Falszywi bogowie na zewnątrz,
małostkowa miłośćka wewnątrz
serce pustoszą, miast życiem napelniać
karmią cierpieniem, miast marzenia spełniać.

Już dość. Już wracam do siebie witając,
Na nowo duszę własną poznając.
Ulga i piękno,
Oddech i My,
Matko i Duchu!
Tak wciąż trwajmy!

Deszcz w ziemię – *wrześniejsza pełnia 2021 r.*

Wsiąkam w łóżko.
A w mój brzuch,
jak w ziemię
wsiąka jak deszcz
Twe nasienie.

Wrażliwość – *święto Aniołów 2021 r.*

Kocham Cię
A Ty mnie?
Czy kocham się?
Mam w sercu to coś, czego nie pozwolono mi czuć, ni przyjąć,
[lecz zmieniać i dostosowywać oczekiwano.
I tak czyniłam, porzucając siebie.
Czy to jest miłość? Nie
Nie możesz więc kochać mnie.

Ukochać muszę wpierw sama się.
 I polubiłam troszeczkę siebie. Samotność nie jest już taka ciemna.
 [I wtedy zjawiliś się Ty.
 [Byłeś światłem latarni morskiej, oznajmującym,
 [że płynę w dobra stronę.
 Lecz latarnia przygasła. Lub naszła mgła.
 [Teraz kierować mam się po gwiazdach,
 [by znaleźć znów drogę. Sama, na swojej lupince
 [wśród fal obojętności,
 [bez zewnątrzsterownych światel latarni.
 Oj, ciemna to noc.
 Kolejna.
 I kładę rękę na sercu, by wsłuchać się w nie.
 I słyszę puls szept – „Kochaj się”.
 – „Czyż tego nie robisz?”
 – „Wątpię...”
 – „Kochaj to znaczy nie tylko polub się,
 Lecz co w Tobie wyparte, przyjmij w pełni do siebie.”
 I płaczę i myślę i szukam i cierpię oddzielenie.
 Bo nie ma cię sercem ni światłem oczu przy mnie.
 Czemuś tak skamieniał na mnie?
 Zarzuty.
 Do kogo?
 Do siebie.
 I wnet od Dębu olśnienie:
 – „Nieczerłość, skamienienie... a i owszem” – mówi drzewina
 – ale nim jego na ciebie, to wpierw sama siebie zamroziłaś.
 Dostałaś drogowskaz, gdzie jesteś i co robisz,
 jak w lustrze przejrzałaś się, czym jest Twój ...holizm.
 Ten etap za Tobą, ucieczki kres.
 Masz teraz czas, więc stań do siebie twarzą w twarz.
 Znów CZUJ to, co od zawsze w sobie masz.
 Roznieć ten ogień z dzieciństwa w sercu.
 Odmrożysz siebie, pokochasz się,
 Odmrożysz jego, pokocha Cię.

Lustrzane odbicia – pełnia w Baranie 2021 r.

Jest taki moment na gasnącym niebie,
 gdy widać granicę zmroku.
 Po jednej stronie są ciemne chmury na niebie rozjaśnionym zachodem,

[a tuż obok są chmury jasne od sztucznych światel miasta,
[przypięte na ciemnym, nocnym niebosklonie.
Lustrzane odbicie siebie samych.

Spotkałam kiedyś siebie z innego życia.
Ta inna ja opowiadała swoją historię.
Ta inna ja była dokładnie tam, gdzie byłabym ja sama,
[jeśli kiedyś podjęłabym jej decyzję.
Ona to zrobiła w tamtym momencie i teraz siedziała po drugiej
[niż ja stronie biurka.
Lustrzane odbicie siebie samych.

W życiu podjęłam znacznie więcej decyzji niż tamta jedna.
Jeśli by pozwolić spełnić się każdej alternatywnej historii,
to tych innych-mnie byłoby pewnie... z kilka miliardów?
Tyle, co ludzi na świecie!
A jeśli każdy człowiek to inne ja?
Lustrzane odbicie nas samych.

Jedność na niebie w naturze.
Jedność w ludzkości i sercach.
Lustrzane odbicie siebie samych.

Wszyscy inni mogą być jakąś częścią mnie
Albo ja – jakimś fragmentem nich.
A my wszyscy elementami większej całości.
Wspólnego serca, Źródła.

Źródło wysyła nam co jakiś czas dzieci
Które jeszcze przez chwilę pamiętają o co chodzi w tej zabawie.
Każde dziecko jest absolutnie swobodne w byciu sobą.
Akceptuje siebie w pełni,
Jeszcze nie wiedząc, że mogłoby się złościć na swoje ciało,
[czy poniżać swój umysł.
I dlatego jest doskonałe.
I dlatego zasługuje na miłość.
Bo jest.

Klara Kostrzęwa

Joanna Kożan-Łazor

Inspiracje

Poeeci czytają. Słowa nie pozostają bez echa. Inspirują. Piotr Adameczyk, Miron Białoszewski, Ryszard Kapuściński, Stanisław Lem, Haruki Murakami, Wisława Szymborska, Iwona Świerkula. Dlaczego oni? Nie wiem. Dotknęły w określonym czasie mojej przestrzeni i weszłam z nimi w dialog. Stąd inspiracje.

Litera

Rabować – ratować...
Tylko litera różnicy.
Jak w życiu.
Cieniutka
nie zawsze czerwona
linia.
Kreatywność słowa wątpliwa;
atrofia, zdmuchnięcie, nicość...
Jak w życiu?

Pustka

Brak mi
twojej dłoni w moich rękach,
twoich warg na moich ustach,
twojego uśmiechu na moich oczach.
Zostaje wirujący świat.
Zbyt lekki, by zatrzymać.
Opada i podnosi się
kolysząc kolysanką ciszy.
I osiada na
piątej klepce podłogi
mojego domu.

Nie pozwól

Jestem idealnym naczyniem
na twoje rozterki.

Uwierz.
Dłoń ukryj w mojej.
Zaśnij –
w miękkim zagłębieniu
tuż nad sercem.
Zmieszczę cię między skrzydłami
moich piersi.
Nie pozwól, abym odeszła,
pękła jak bańka mydlana
jak kolorowy balonik
puszczony ręką dziecka.

Zmęczenie

Słona gorycz dzień codzienny
osiada na wargach.
Koniuszkiem języka
zlizuję drobiny zapomnienia.
Czas nie –zając.
nie ucieka.
Tyka jednostajnie
odmierzany kieliszkami.
Wskazówki dochodzą
do dna
zasypiam zmęczona.

Obecność

Nie całuj
całunkiem ciała.
I bądź.
Zadłużony
po krawędzie duszy...
Uszy.
Wsluchuję się w twoją
obecność
długą, szeroką, wysoką i głęboką.
Bądź.

Odchodząc

Ostatni
ma ze wszystkich najgorzej.
Zostawia po sobie
miejsce zimne,
opuszczony dom
z milczącym krzykiem pustych okien,
łzawą zaćmą oczu.

Dzień jak co dzień

Gęstniejemy w powietrzu.
Nasze suche gardła
chrypią.
Rozmowa klei się do asfaltu.
Jej zapach
trochę ostry, trochę gorzki...
Zbyt smolisty, aby wejść do abstrakcji
piekła.

Epikryza

Choroba.
Nie poszła do przodu.
Zagapiła się
i utknęła w drzwiach.

Haruki

Zmierzyć smutek,
wrazić liczbami
i zaksięgować.
Zachowam na później.
Teraz nie mam czasu.

Haiku



księżyc wpadł
do kałuży pękła
szybka lodu



nagie gałązki
chwytają za polę płaszcza
jak zimno



dzień dłuższy o
zajęczy skok światło
światło światło



cebulki ciężkie
od soków pękają
zielonym liściem



między liśćmi
owoc morwy
lepkie palce



cichy plusk wody
plamy światła tańczą
wokół stóp



przepychem barw
tęczy niebo i
liście drzew



jesienny zmierzch już
złotym kręgiem otacza
ramiona wędrowca

Joanna Kożan-Lazor

Bożena Urszula Kozłowska

Październikowy ogródek

Z nieba krzyknęło słońce,
odezwał się wiatr.

Zafurkotał wiatraczek,
motyli krzew się rozkołysał.

Żółcią i czerwienią
zapłonęło dzikie wino.

Zielonymi listkami
zamigotał bukszpan.

Przyczajone skalniaczki
cichutko pęcznieją.

Patrzę i słucham. Jestem.

Dobry dzień

Dzisiaj będzie dobry dzień.

Rankiem uśmiechnę się do losu,
napiszę wiersz...

W południe znajdę,
co zgubiłam.

Wieczorem pofrunę z ptakami
gdzieś za horyzont...

Tak, dzisiaj będzie dobry dzień.

Wydaje się

To nie listopad,
ani grudzień...
Przychodzi czas,
że cienka drży nieć

i bawią się w chowanego
minuty na krawędzi...

Coś się wydaje,
lecz przemija
i znowu
lśnią w słońcu
krople deszczu.

W sidłach wyobrażeń

Na wiatr rzucamy słowa
w sidłach wyobrażeń.

Niby coś rozumiemy,
niby wiemy...

Płyniemy,
a jakże, płyniemy,
próbując wyrównać oddech.

Skarb w maliniaku

(Wspomnienie mamy)

– Znowu idzie pani na maliny w te przygraniczne chaszczki? Że też pani się nie boi? Kobieta sama na odludziu? Jeszcze ktoś napadnie! – zaczepia sąsiad.

– Ech, panie kochany, już dwadzieścia lat zbieram tam maliny i żyję – odpowiada pani Alina.

– Ale ma pani końskie zdrowie! Dwa kilometry do granicy, trzy godziny w maliniaku i znowu dwa kilometry z powrotem. Ho, ho, u nas renciści dobrze się mają! – trąkocze sąsiad.

– Żałuje pan, że nazbieram sobie trochę malin? A pan przez całą noc ogląda telewizję! – odcina się kobieta i przyśpiesza kroku, nie czekając na odpowiedź.

Jest letnie popołudnie. Żadnej chmurki na niebie. Żwawa rencistka już przeszła dużą ulicę w kierunku granicy Kudowa Zdrój-Słone. Dalej idzie krętą szosą na Brzozowice. Cykają świerszcze. Pachnie łąką, lasem, żywicą i grzybami.

Potem mija staw rybny i zaraz za nim skręca w lewo, w polną drogę, która biegnie coraz wyżej. Niedaleko znajduje się urokliwa leśna kapliczka z XIX wieku poświęcona Matce Boskiej Bolesnej, a poniżej w Zielonej Dolinie wypływa Źródło Maryi. Jego woda jest krystalicznie czysta i ma wyjątkowy smak. Przyjemnie tu odpocząć i podumać o sprawach boskich i ludzkich. Oczywiście energiczna rencistka także zatrzymuje się w tym miejscu.

Po kilkunastu minutach już wspina się na dość wysoką górę. Na jej zboczu od strony zachodniej rosną maliny. Pani Alina wrzuca wielkie soczyste kulki do dużej bańki.

Mija godzina. Ciało domaga się opoczynku. Pora coś zjeść. Uff! Jak gorąco! Kobieta zdejmuje lekki, jasnoniebieski sweterek z moheru. Teraz uważnie rozgląda się wkoło. Jak dużo tu pieńków! Kilka lat temu wycięto część lasu. Potem posadzono nowe drzewa. Widać, jak szybko idą ku słońcu.

Pani Alina siada na ziemi. Powoli zjada kanapkę i wypija herbatę. Postanawia, że teraz pójdzie na drugi maliniak, który znajduje się na przeciwległej górze. Przez jej szczyt przechodzi granica państwa. Dalej są już Czechy. Zbieraczka ma ze sobą dowód osobisty na wypadek, gdyby spotkała patrol wopistów.

Pół godziny później kobieta jest na nowym miejscu. Od razu zabiera się do pracy, bo malin tu zatrząsienie. Jednak wkrótce ręce słabną i trzeba zrobić przerwę.

Słońce powoli zmierza ku zachodowi. Błaski i cienie coraz intensywniejsze. Właśnie ostre promienie padają na tę pierwszą górę, z której wcześniej zeszła.

Nagle uwagę pani Aliny przykuwa coś jasnego w tamtym maliniaku. Myśli zaczynają fiksować:

– A może tam ktoś siedzi?

– A może przemytnik coś zgubił?

– A może to wór z pieniędzmi. Obrabowali bank. Przyjdą, jak się uspokoi.

– A może to ktoś zasłabł?

– A może....

Pani Alina postanawia wrócić w to miejsce. Powoli schodzi z jednej góry i wdrapuje się na przeciwległą. Oj, ma kondycję kobieta, chociaż już dobrze po sześćdziesiątce.

Gdy jest blisko, zaczyna się skradać. Patrzy zza jednego drzewa, zza drugiego. W końcu sunie przed siebie. Co będzie, to będzie!

– Ale skarb! Toż to mój jasnoniebieski sweterek!

Bożena Urszula Kozłowska

Bożena Krótka

* * *

Kiedy spotykam swoją młodość
dziwię się tamtej pochylonej głowie
z niesfornym kosmykiem na czole;
zgarbionym plecóm,
posępnemu spojrzeniu,
garści kompleksów
splonionych nieśmiałością...

Kiedy patrzę w lustro
delikatnieją zmarszczki
i choć doskwiera tęsknota
nie pieką już porażki.

Wyciśnij z owocu życia, ile jeszcze się da,
– mówię do siebie –
puszczając oczko.

Jeszcze tyle

Bywały lata w środku zimy
w Brazylii, Zambii, Australii.

Dziś dziurawe buty
połatane walizki na kółkach.

W marzeniach drewniany dom
rudy kot na piecu,
tykanie zegara.

I jeszcze tyle
tyle

do zachłyśnięcia się życiem.

Burza

Spadła nagle
jak jastrząb na ofiarę,
zaledwie kilka błyskawic,
a potem galop kropel
po skoszonej trawie.

Mówią o niej lipcowa,
więc i z nagłą przeszła,
ot tak sobie, jak gdyby
nic nie zaistniało:
weszła zdumiona tęcza,
parowała ziemia,
a ślimaki wypelzły
na maraton szczęścia.

Na wilgotnej trawie,
po moim nagim ciele
przechadzały się dostojnie
wspomnienia twoich pocałunków.

W kuchni

Lubię być sama.

Bulgocze woda z ryżem,
wiatr unosi firankę,
pachną ziola,
za drzwiami śmiech.

Nagła myśl
jak błyskawica,

że twoje usta
na mojej szyi.

Wypuściłam talerz z rąk.

Spotkanie klasowe

Emocje w miarę podobne,
nierozmyte przez czas,
choć minęło trzydzieści lat
od tamtej studniówki.

Tak samo drży moja dłoń,
gdy próbuję nią
uspokoić rzęsy.
Wokół zwiewne sukienki,
twarze dawno widziane,
uśmiechy, uściski
i ja zerkająca w okno.
Czekam.

Wreszcie jesteś!
Dziś, tak samo jak kiedyś
wzbudzasz zachwyt wśród kobiet.
Kaskada uczuć przelewa się we mnie,
drętwieję, gdy wychodzisz z inną.

Dojrzała o lata
pragnienia mam większe
niż dotyk twojej dłoni
i młodzieńcze pocałunki.

Może tak, jak przed maturą
zerwę dziś liść akacji
i powrózę:
zadzwoń, nie zadzwoni...

Pomimo

Nie wysyłamy już w świat
uczuć w zaklejonych kopertach.
Wyrastamy ze zmian adresów i walizek.
Siwieją nam serca,
przywdziewamy kolory jesieni.

Pomimo to,

w tamtej niebieskiej sukience
do dziś trzepocze serce,
a twój kojący dotyk
odmładza moją skórę o tysiąc lat.

Nasze miodowe ćwierć wieku
niewiele straciło ze swej słodczy.

Kintsugi

„... *wyjdź na zewnętrz!*” (J 11,43)

Na Twoje zawołanie
wychodzę z grobu grzechu.
Słońce razi w oczy,
obmywam i osuszam rany,
uczę się chodzić.

I choć jeszcze słowa niewyraźne
i policzki płoną wstydem
podnoszę głowę i proszę:

Sklejaj mą duszę złotą laką,
niech blizny lśnią
jak diamenty.

Niezawodny Boże, który
podnosisz, naprawisz
i kochasz mnie –
– teraz jeszcze piękniejszą –
w swej niedoskonałości.

Bożena Krótka

Anna Kulesz

przemijanie

zawieszona w zamyśleniu
dostrzegam uśmiech
na tle twarzy
znużonych podróżą

odwzajemniam go
z zakłopotaniem

odwracam głowę
w stronę uciekających pejzaży
za oknem ekspresu

kontury naszych twarzy
odbijają się w szybie
jak w tafli jeziora
i nakładają na krajobrazy
pajęczyną zapatrzenia

przystanek zrywa przedzę
twarze znikają

wychylam się przez okno
pozostawionych na szybie
spojrzeń

Grudzień 2018

bez powrotu

wypadłeś z mojego świata
niechący
jak dziecko
które nie potrafi jeszcze
ocenić niebezpieczeństwa
wysokości

wszystko się wtedy pourywało
nie płakałam
od dawna już nie płacę
łzy zostają w środku
i bołą

czasami dają się wyrzucić
w innej formie

wypadają jak pociski
i ranią

nie tylko ciebie

Styczeń 2019

niepewność

mijamy się bez słów
w krętych korytarzach dnia
z twarzami jak nieruchome maski
w weneckim karnawale

niepewni wzajemnych reakcji
zatrząskujemy po drodze szuflady
pełne tłumionych pretensji

kocham
rzucane w momentach
przerywanej emocjami ciszy
zaskakuje i zgrzyta w zawiasach drzwi
które nie dają się domknąć
między wtedy a teraz

w progu piętrzą się wspomnienia
przygniecione rozdrażnieniem
i zniekształcone niepamięcią

podnoszę z podłogi
kawalki delikatnej porcelany

kawa zawisła na ścianie
w szyderczym uśmiechu
jak przyczajony nietoperz

niepewność nie pozwala skleić
poszarpanych uczuć

2019

najważniejsze

trudno iść drogą
na której
ostre krawędzie
ranią stopy
a splątane korzenie
spowalniają kroki

nachylam się
odcinam te
które przeszkadzają najbardziej
i z trudem idę dalej

choć droga męcząca
i potknięcia bolesne
ciągle podnoszę się
by nie stracić z oczu
celu podróży

Marzec 2022

złotowłosa z mgły

zjawiała się niespodzianie
w oddechu szarego poranka
uwalniając spod czapki
kaskadę mgieł rudozłotych

roziskrzyły się jak pochodnia
blaskiem na sennych twarzach

i tańcem wokół jej oczu
barwy piwa niedojrzałego

dźwięk telefonu zaplątał się
w śmiech niby w przędzę złotych nici
i znikła na przystanku
jak utkana z mgły
pozostawiając blaski
roześmianych oczu

2018

fiolki dla mamy

każdej wiosny
dostawałam je od ciebie

kiedy stawiałeś pierwsze kroki
z trudem wyszukiwałeś je w falbanach mchu

kryły się między liśćmi
jak skrawki nieba
zdmuchnięte na ziemię

przynosiłeś je w zaciśniętej pięści
i patrzyłeś z troską
na zgniecione płatki
przyklepione do dłoni jak całusy
którymi pieczętowałeś moje policzki

z każdym rokiem lodygi były dłuższe
a twoje oczy bardziej niebieskie
jak fiołki w naszym ogrodzie

zasuszone w książce
przypominają jak mówiłeś
znowu zakwitły mamó dla ciebie tej wiosny

Anna Kulesz

Katarzyna Alicja Lis-zewska

* * *

urodziła mnie,
wykarmiła i wychuchała.
Po czym, siekierą nadopiekuńczości,
odrabiała nogi.
Samodzielnie pelzam...

Ewolucja

Panie Boże,

uzdrów moje serce
od jadowitych myśli i słów,
żebym nie pelzała...

Alina Makówka

Modlitwa niedzielna

Siwa pokorna modlitwo
Szeptana cicho w kościele
W każdą niedzielę
Zimą, pachnąca naftaliną
Lekko przepocona latem
A ja chciałabym, byś pachniała kwiatem
I... młodością
A ty
Uparcie pachniesz starością
Zniedołężniała, choć szeptana szczerze
Wdzięcznie składana w ofierze
Tobie Niebieski Boże

Czy jest Ci miła?
Może...

Dziękuję

Dziękuję mój miły za twój dotyk dłoni
Za twoją obecność pełną męskiej woni
I za ten kożuszek, którym okryłeś me zmarznięte ciało
Gdy poezji Herberta wciąż nam było mało
Wtedy Panem Cogito byłeś a nawet Kartezjuszem
Dziękuję mój miły za te chwile wzruszeń

I za uniesienia zawsze nazbyt krótkie
I za tę pierwszą cudowną pobudkę
kiedy nie słyszałam nawet ptaków śpiewu
bo... byłeś tak blisko...

Anna Mikos

Matka zasnęła

Twoje ciało, kochane oczy,
łąki mojego dzieciństwa,
zasnęły pierwszego dnia wiosny.

Dotykam sukni w motyle i kwiaty,
jedwabnej pamiątki troski.
Wystarczy mi, mamo, na resztę drogi.

Próbuję wyrazić sieroctwo,
rozciągam słowa,
rozmawiam z powietrzem,
przywołuję tamte lata.

Wolałabym jeść lody.
A tak. Ludzie patrzają,
więc jadę tam gdzie na pewno
ciebie nie ma – na cmentarz.

Umieszczam zdjęcie w złotej ramie.
Wchodzę w przeszłość, którą jesteś
zastygła, zimna i śpiąca.
Kontynuuję jedyny sens.

Umacniam swoją wiarę.
Czuwam teraz przy tobie
raczej jak wojownik niż pielęgniarka.
Taka jesteś we mnie obudzona.
Wyprężasz pierś i biegiesz...
Bez płaszcza.

26.06.2022

Motyle w październiku

Motyle w październiku mają twarz zmęczonej dziewczynki,
[załzawione oczy
wymykają się na chwilę do błękitu, uderzając delikatnie
[skrzydełkami o ścianę.
Wydostać poczucie siebie z inności, kiedy słowa jak płaszcz,
[który zakryje
każdą słabość, czasem tylko krzyknie.
Spotykają się na białym murze u sąsiadów
[i błyszczą kolorami jak pierścionki drapieżne
i próżne, a potem odlatują bez ciężenia zaprogramowane na wiatr.
Chcę razem z nimi łapać dzień i wystawiać rozpustne piękno
[wbrew rozgadany,
rozkazującym barierom, zatańczyć dla dziewczynki
[o wargach motyli i oczach
ciężkich i twardych jak metal.

Drzewa

*Drzewa Pana mają wody do syta,
cedry Libanu, które zasadził.*

Ps. 104,16

Cóż jest takiego w drzewach?
Wiatr gwałtowny jak jęk,
w liściach pieśni i szelestów tysiąc,
korona niczym prastary krążownik nieba
rozpięty nad maluczkimi sprawami,
korzenie wbite w ciemne otchłanie,
zimne korytarze źródeł podziemnych.

Cóż jest takiego w drzewach?
Płaszczem poszarzałych piszczeli pokryte,
twardym i niedostępnym jak tajemnice.
W wielkiej sali wyobraźni konar – ręka pajęcza,
kości proroków w stosach do chmury.

Cóż jest takiego w drzewach
Kiedy przemawiają łoskotem zielonych melodii
chyląc sprężyste ramiona kształtem pochyłonym?

Ukrywają się arterie i aorty za twardą i nieruchomą tkanką.
W drzewach jest życie, czasem bardzo długie.
W drzewach jest odwaga zwycięzcy w pochodzie
wypreżona od korzenia po koronę.
Kiedy w zgięciu do złamania zmierzam
drzewo – zwierciadło sztywne we mnie – rośnie.

11.08.2022

Dzień w Radachówce

(tryptyk)

1. Poranek

Rozśpiewała się jasność
jak gdyby nocy nie było,
okno topazem zabłysło
nad uśpioną pościelą świtu.

Drogi zaprosiły zajętych
codziennymi sprawami
do wędrówek wśród
kwiatów i motyli.

2. Dzień

Dzieciół oznajmia południe
kiedy kot wyrusza w chłodne gęstwiny,
płyną dumne i dostojne chmury
niby zeppelin

Po południu odcienie zieleni
kładą się płasko na krajobrazie,
serca ptaków śpiewają
upojone gorącą miłością.

3. Wieczór

Zanucę zbliżającej się nocy
barwny menuet zachodu.
Obmyje zmęczone ręce
w studni sennego ogrodu.

Przytulę głowę do gwiazdy,
ulożę ciało w łożu.
Drzewa delikatnym szumem
ukolyszą świergot wokół.

Zaśniemy porwani przez słabość
zamknięci w cichości domu.
Sny zabarwią się i zabłysną
walorem nieznanym nikomu.

Anna Mikos

Tomasz Mroczkowski

Gedeon

Czerwony jezor ognia wypełził ze skały.
Łapczywie pożarł mięso i praśny chleb.
Na suchym piachu, co wzbija się do nieba,
mokre runo ze mnie drwi.
Moje imię Gedeon.
Wybrał mnie Bóg.
Z kłamstwa do prawdy wyzwolę Izrael.
Nie zabiorę tych, którzy chlepczą wodę jak pies.
Pójdą ze mną ci, którzy piją wodę jak człowiek.
Kolcami z pustyni wychłoszczę wszystkich,
którym ofiarowałem wolność, a nie dali mi chleba.
Zburzę warowne mury ich miast
i świątynie obrócę w perzynę.
Bogów wykonanych z drewnianego słupa,
co nie potrafią się obronić,
zetnę i spalę na czarny proch.

Dźwięk rogów mojej armii wypełnił lękiem uszy wrogów.
Paniką owinał się wokół serc Midianu.
W popłochu i szaleństwie miecz dobyli na swoich braci.
Złoto wyrwałem z nozdrzy pogan.
Dalem ludowi Izraela czterdzieści lat pokoju.
Wydeptałem dla nich ścieżkę do Boga.
Krnąbrni zapomnieli jak się nią kroczy.
Dopuścili się nierządu z Baalami.
Zamordowali moich siedemdziesięciu synów.
Krew moich dzieci świeci na jednym kamieniu.

Jerozolima

Nie ma takich słów, nie ma takich lez
Byś zapłacić mógł za śmierć niewinnych dusz
Palestyny krew, Izraela krzyk
W tym bezradny ja i bezradny ty

Znów będzie światło nad Jerozolimą

Bo przecież w nas jeszcze nie zgasła miłość
Obmyjcie oczy w sadzawce Siloe
Bo błotem wojny mocno zaślepione

W dłoniach złoty dzban, w Bramie Wodnej tłum
Gdzieś tam z boku ja i pośrodku ty
Źródło w sercu masz – Gichon tryska w nim
Pokarz czystą twarz i dłoń podaj mi

Samson

Pręczę się, wyginam.
Prędzej pęknie żyła.
Niż ta filistyńska lina.
Dalila błądzi wzrokiem.
Moje włosy na podłodze.
Tak płaci się za głupotę.
Panie ja jestem tu sam.
Z ust Dalili spilem naiwności jad.
Oprawcy sztyletem zdrady ukradli
moje oczy.
Ciemność przede mną kroczy.
Toczę żarna głupoty.
Odrastają moje włosy.
Muszę, muszę Boga przeprosić.
Panie ja jestem tu sam.
Z ust Dalili spilem naiwności jad.
Zaparłem się z nadzieją.
Złamałem dwie kolumny.
Filistyni poszli do trumny.
Panie nie jestem już sam.
Padłem do Twoich świętych stóp.

Nuty niosą modlitwę

Przemysławowi Gintrowskiemu (1951-2012)

Śpiew aniołów napawa istoty mistycznym doznaniem.
Nuty wdzierają się czystym strumieniem prawdy w głąb serca.
Uderzają dynamicznie w najcieńszą strunę wrażliwości.
Budzą zrozumienie z najgłębszego snu

i czynią człowieka świadomym.
Psalmi niebiańskich chórów wybrzmiewają doskonałością.
Nie tylko dla samego piękna muzyki.
Istotą ich pieśni jest uwielbianie Boga.
Wychwalanie miłości, mądrości,
sprawiedliwości i wszechmocy Stwórcy.
Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba,
stworzył i nazwał wszystkie gwiazdy na niebie.
Ich liczba miriady miriad.
Naszej nadal imię Słońce.
Promieniami oddzielił światłość od ciemności.
W zamierzchłych czasach poganie,
z kolczykami w nosie, skradli złociste dzieło Najwyższemu.
Dzisiaj inni ludzie ukradli Bogu tęczę.
Symbol, jaki umieścił na niebie,
na znak przymierza, które zawarł z Noem.
Ludzie wiary, zalewani są nienawiścią i pogardą.
Dzień staje się nocą.
Jest jednak promień nadziei w wierszu
Natana Tenenbauma *Modlitwa o wschodzące słońce*,
który przebija hordy czarnych chmur.
Dobitne słowa poety mistrzowsko ubrane
w rozświetloną muzyczną szatę przez wielkiego
polskiego autora pieśni Przemysława Gintrowskiego.
Każdego dnia nuty niosą *Modlitwę*...
do bram Nieba i układają nasze wołanie u stóp Boga.

Kołobrzeg, 10.07.2021 / Słupsk, 12.07.2021

Drogowskazy

Święty obraz nad pustynią woła o chleb i wodę.
Ludzie stoją jak posąg Dawida.
Króla z godności obnażył artysta.
Krzykiem dłuta białe szaty rzucił na czarny bruk.
Kamień milczy.
Bóg widzi i gniewem płacze.
A ja idę ubrany w wiersze i muzykę.
Wędruję po słowach poetów.
Kaczmarek, Grechuta, Młynarski zostawili drogowskazy.
Po drodze mi i nie zapłacę.

Życie swoje napiszę tak, jak chcę.
Nie będę umierającym wiatrem.
Zabawką bogów w ziemskim zoo.
Tam, gdzie podążają poeci, jest inaczej.
Życie ma drugie dno.

Cisi

Gdy spłonęły nasze domy
Okupant morduje niewinne dzieci
Jak zwyciężyć mam?
Gdy rosyjskie spec-mundury
Wciąż garbują ludziom skóry
Jak zwyciężyć mam?
Może wciąż w jedności siła?
Solidarność zwyciężyła
Jak przekonać świat?

Proszę cisi wyjdźcie z domów
Niech elity Was zobaczą
Co miliardy – to nie milion
I Putina się nie przestraszą.

Krew niewinnych woła przestań!
Wkrótce spadnie na twoją głowę
Bóg już stracił swą cierpliwość
Gniewną tobie da odpowiedź

Czyste łzy jak diamenty
Na posadzce za kratami
Będą palić dusze tych
Co wolności nie kochali
A gdy kraty pordzewieją
A oprawcy posiwieją
To rozliczy Bóg ich w Niebie
Nie obejrzy się za siebie

Proszę cisi wyjdźcie z domów...

Tomasz Mroczkowski

Wojciech Namysł

Gaudete

O!
iskierkę już widać
za chwilę
gwiazda wskaże!
Nie szukaj we mgle
jazgocie zadymie
w podziemiu
nie widać.
Szukaj jasności
skąd światło bije
tam będziesz widział
Zbawiciela dostrzeżesz
w pełnej ostrości.
Wśród nocnej ciszy
posłuchaj głosu
co się rozchodzi
do twardych serc.
Powrócisz do żywych
zrzucisz trąd
dostrzeżesz Syna.
On przyszedł
do Ciebie
On poda Ci dłoń.
Otwórz przyjmij
nie wykręcaj się
że nie pamiętasz
bo zapomniałeś.
Ciężko bez niego!
Przyjmiesz
to z martwych powstaniesz
będziemy czyści i
więcej będzie nas
razem śpiewać będziemy
w satysfakcji oraz radości
„Chwała chwała Bogu na wysokości”.

15.12.2019

Adwent

Zawalil Ci się świat
wpadłeś do dziury
sięgnąłeś dna
spójrzysz do góry
tam jest twój plan.
Powstaniesz
zbudujesz nowe
ze szczątków
co przetrwać
w tobie zdołały.
Nie czekaj
naprzeciw wyjdź
teraz jest czas
narodzin Syna.
Boży świat
jak ziarno
w żarnach roztarte
na mączny pył
da wszystkim pokarm
jak przyjmiesz
na nowo będziesz żył.
Spokojny radosny bądź
nie wzbudжай wiatr
co by roztrwonil
świadomie przeżyty
Adwentu czas
niech starczy Ci sił
do końca czasów
póki świat Twój
i nasz
będzie żył.

05.12.2019

Czas

Transcendencja... To trudny wyraz,
a taki prosty znak – prawda i czas...
Nawet Platon, tego nie zdołał zmierzyć,
nie poznał, bo niby jak, nie dowierzał,
że czas to historia, która wciąż gna,
zaś tyle waży, co świat cały w pamięci ma.
Wyznawcy Chrystusa – w królestwie
prawdy czy konieczności żyć muszą,
a przemoc i gwałt polityków musi
przykrywać wojna kolejną wojną?
Dlaczego przemocą zmienić chcą wszystko
co pokolenia tworzyły od prastarych lat!?
Czy nadal zjeżdżać po równi chcesz sam?
Głuchy, ślepy na przed i za? To jest twój czas,
którego po zabawie, nauce, zachwycie innymi,
przybędzie Ci, zbliżymy się, bo wiara jest w nas
wszystkich, którzy z nadzieją rozwiązania czekają...
i tych, co sponad czasu ku nam ręce wyciągają.

20.08.2022

Kobieta trzymająca wagę

Na drugim planie...
i sąd ostateczny
i z martwych wstanie.
Słodka zaduma
nieutulona Pani
na stole perły
złoto talary
obszerna suknia
co życie osłania.

Z okna przebija
lekka poświata
jednakowo rozjaśnia
ukryte życie poczęte
i perły skamieniałe.
Co dalej Pani?

Pozostaje niewiedza...
Na ledwo widocznej –
co przeważy szali?

07.08.2022. Do obrazu Jana Vermeera z Delft
Kobieta trzymająca wagę (ok. 1664)

Pa!

chłodem powiało
to jak trzaśnięcie
przed nosem drzwiami
o północy – nieszczyćście

wypad i w drogę ślepcze
nocne mary z deszczem
za rękę cię wezmą
wyprowadzą na skraj

skraj czego? zawracam
kolatać nie mam zwyczaju
ciemności rozgrzebywać
z marami też mi się nie chce

otwieram na oścież swoje
poczekam przezroczystego
poranka kiedy na horyzoncie
pojawi się anioł – kochanka

razem w na głowie wiankach
rozpoczniemy na rosie pląsy
poranek rzeński wyborny hardy
taki co łączy jego i jej barwy

tak wymieszani z paletą barw
w kolorach płomieni błękitu
zieleni a nawet półkola tęczy
stopimy się w jedno nagością objęci

Wojciech Namysł

Krystyna Obara-Morawska

Odwiedziny

Często przekraczam
czas przeszły
Oni śpią
a ja Ich budzę
jestem z Nimi
wchodzę nieproszona
do dużego mieszkania
dotykam bali i tary
i gładzę opuchnięte
mokre dłonie
chcę Im dodać sił
wytarte w lniany ręcznik
unoszą niemowlę ponad głową
z podwórka dochodzi trzask
rąbanego drewna
precyzyjne męskie dłonie
podziwiam dzisiaj
często przekraczam
czas przeszły
i wracam
nie domykając drzwi

Solo na blachę

noc
druga trzydzieści
blaszane dachy garaży
i koncert żołędzi
bęć bęc bęc i cisza
bombardowanie
chcę piano
jest forte
w pierwszym rzędzie
słucham koncertu
do świtu
zasypiam w porze oklasków

Przymiarka

a ja sobie
w cieniu leżę
świat przymierzam
to na głowę
to na ręce
szczegół jakiś
niepotrzebny
coś naprędce

przymierzone
założone
więc obracam
nowy obraz
w tempie wolnym
tu atuty
tam usterki

tak odziana
jeszcze ubrać
pragnę serce
ale rozmiar
przeogromny
trudno będzie

cieniu
cieniu drzewa wielkiego
dobry kostium
dla serca mojego
na ten żar
na ten skwar
jakiś godny przyodziewek
mocne szwy
i wytrwałość
znajdźże mi

dalej sobie
w cieniu leżę
świat przymierzam
to na głowę
to na ręce
a w kolejce
biedne serce

Przejście graniczne

za otwartym oknem
tyłu ochotników
zamieszkania ze mną

aromaty przebrzmiałej kolacji
rozsyłają zaproszenia
na prawo i lewo

na szybie obok
tłum niecierpliwych gapiów
w kolejce

moskitiery nie wydają wiz

Chwile z kawą

W filiżance
czarna jak szatan
znika
z prośbą o przyszłość

lubisz ją czy nie
wybierasz czasem
jej towarzystwo

miłość niejedna
wtedy poczęta
powraca
tłumacząc gorycz

tęsknota
rozpuszcza się
w niej
aż do wspomnienia

precyzja palców
w uścisku naczynia
pozwala ocenić
jak daleko masz do dna

ile to jeszcze potrwa

chcesz wrócić
po dwóch lykach
ale
to już nie jest
ta sama kawa

zawłaszcza czernią
kąciki ust
bez uwodzenia

w filiżance
czarna jak szatan
znika
z prośbą o przyszłość

Przebudzenie

pozbierała
zwiędłe liście
siebie z pościeli

jak wtedy jesienią
upychała je w workach
wygodnego ubrania

potykała się o kaptcie
może grabie
zabolało

usłyszała szelest
może chrzęst

czy to liście były czy kości

Koszule z popeliny

czterech synów
mąż piąty

a rok był pięćdziesiąty

pochód pierwszomajowy blisko
pięć koszul z popeliny
prasuje chore matczyisko

zimny kompres na głowę przykładają
teraz lepiej
gorączka spada

nabrzmiące dłonie zanurzone
w materii białej
chcą wygładzić bieg historii całej

wyprostować co krzywe
z lewej i prawej
lecz jeden rękaw wymięty

wodą obłany
żelazkiem przypiekany
z trudem znosi życiowe zakręty

zimny prysznic doświadczonych rąk
do skutku
i biel z czerwienią triumfuje powolutku

Krystyna Obara-Morawska

Krystyna Rejniak

Historia

nadszarpięty czasem
mundur żołnierski
z orłem na rękawie
spoczął w gablocie
wyblakły podarty
kryjący tajemnicę
zwykłego człowieka
bohatera bezimiennego
kim był?
na którym froncie?
kiedy go prowadził szlak?
myśli kłębią się
wokół jego historii
w niej świstały pociski
wokół lała się krew
a on walczył mężnie
nieugięty bohaterski
aż do zawieszenia
biało-czerwonej
wolnej bezpiecznej
ku pokoleniom

wzruszona
pochylałam czoło
nad losem żołnierza
broniącego Ojczyzny

Pamięć wyklętym...

Ograbieni z godności i szacunku
zamknięci w czterech ścianach
strachu bólu i rozpacz
jeszcze wczoraj na barykadzie
świętowali zwycięstwo wolność
dziś los zepchnął ich na margines
skazał na zapomnienie

przesiąknięta Ziemia krzykiem
– *Za wolność Polski* –
nawołuje
wstańcie do apelu prawdy

Mundur

W osiemdziesiątą rocznicę wydarzeń smoleńskich

Zbezczeszczony Orzeł na rogatywce
mundur stał się tylko okryciem
już niewaleczny w służbie
przerażony bez prawa godności

wygnany spragniony głodny
oczekujący na wiadomość z kraju
niepewność przechodzi w otępienie
oczekując w bezsilności na wyrok

piekło rozpałiło się na wrogiej ziemi
wieść o nich przykryła warstwa piachu
zagłuszając krzyk rozpaczony za ojczyznę
kryjąc prawdę która miała
nigdy nie wyjść na powierzchnię

Dzieci warszawskie

bez ciepła matczynej miłości
bez wsparcia ojcowskiej ręki
bez bezpiecznych czterech ścian
za to dostały w prezencie karabin

1 sierpnia 1945 roku

już nie ma tamtego miasta
szkielety domów straszą przybyłych
wśród nich krzyże strzegą mogiły poległych
nad nimi mieszkańcy stolicy klęczą w rozpacz

1 sierpnia 2022 roku

manifestacja wolności biało-czerwonej

odpalona rasa tworzy zadymę
– *Część i chwała bohaterom* –
czy o taką Polskę szli walczyć
mali powstańcy Warszawy?

W lesie

w szumiącym lesie jest moja oaza
ukradkiem uciekam do niej od zgiełku dnia
chowając się skrycie w czeluściach ciszy
rozpalając ogień w piecu pod napar

siadam wygodnie w stylowym fotelu
oczy mrużę idę gdzieś dotykam jawy
mienią się obrazy dnia wczorajszego
znów spotykam ciebie lży wzruszenia

nagle to znika wracam do rzeczywistości
kot usadowił się w mych kolanach
daje znać wzrokiem mruczeniem i miauczeniem
że właśnie przyszła jego pora na pieszczotę

Pada śnieg

Biały puch przykrył pola,
gałęzie drzew, strzechy chat,
pokrył niepowtarzalną
wyjątkowość chwili.

Pada śnieg... pada śnieg...
namiętnie białe gwiazdeczki,
na policzkach rozbijają się.

Zawiało urokliwie horyzont,
wiatr tchnął szczypiącym mrozem,
otuleni szalem brniemy przez zaspy
zanurzając się w stan upojnej euforii.

Pada śnieg... pada śnieg...
namiętnie białe gwiazdeczki,

na policzkach rozbijają się.
W kominku iskrzą plonienie
z wypiekami na twarzach,
zaglądamy sobie w oczy,
oczarowani uciekającym zmierzchem.

Pada śnieg... pada śnieg...
namiętnie białe gwiazdeczki,
na policzkach rozbijają się.

Smart-fony

w wagonie metra weszli ludzie ze smart-fonami
hipnotycznie wpatrzeni w okienko ekranu
szukają sensacji na miarę czasu
otaczająca rzeczywistość zeszyła na margines
ach wśliznąć się w medialny świat i pozostać tam
ogarnia ich miłość od pierwszego wejrzenia
to nic że kręgosłup odkształca się trwale
najważniejsze stębały się niusy i smsy

pośród tego wytwornego towarzystwa
usiadła niepewnie pani bez smart-fona
nieśmiało się rozgląda zakłopotana
nikt na nią nie zwraca uwagi
przecież urządzenie to zostało już dawno wynalezione
i od lat zaprasza na salony innego świata

pani cierpliwie znosi niedogodną podróż
ulega z rzekomo ważnym wiadomościom
zerkając w wyświetlacze obcych telefonów

nagle ciszę przerywa sygnał
dochodzący z jej torebki
słucham

Krystyna Rejniak

Jadwiga Siwińska-Pacak

ziemia przetrzebiona 2020-2022

jeszcze istniejemy lecz
nasze cienie cienieją w izolacji
wiosłujemy po mętnej rzece
lękiem parującej wody
ochłody pragnąc oraz nadziei
albo chociaż wyjaśnienia istoty
w obliczu zawilości na wyrost

ostrym cięciem bieleją pragnienia
niewidzialny zabójca czyni spustoszenie
cichnie śmiech przy słabnącym oddechu
bez echa pozostawiamy ambitne
projekty strategię
istniejemy choć nasze cienie
cienieją na ziemi przetrzebionej

ścieki obywatelskie 2020

łyną jak przed rokiem a miało być bez powtórki
czajki gniazdujące na łęgach wiślanych płaczą ze wstydu
gdy inne ptaki błotne wytykają im zmianę perfum

nie ma winnych zagłady życia
głównego nurtu polskiej wody
badania wykazują brak zagrożenia
pomimo że ryby utraciły sterowność

czy wiśła oczyści się sama – może
gdyby sama się zabrudziła
w heroicznej pokorze samooczyszczenia
poległa nie tylko nadzwyczajna kasta

co na to bałtyk wyrwany ze świątecznego snu
po dumnym jubileuszu (40) starej solidarności

pendolino do Warszawy

*Pędzisz niepowstrzymana w tętniącym galopie,
wichrem dziejów snych gnana i przyszłości sławą!
Pędzisz i nas porywasz na dżin Europie*
Julian Tuwim, *Warszawa rozbłykana*

sonet sestyna czy poemat a może hymn
dla maleńkiego znaku na mapie świata gdzie
na gruzach wypełnione pamięcią pomosty pokoleń
przenoszą stołeczny wiatr wiecznej obecności

ten maleńki znak na mapie świata pulsuje
warszawskością Paryża północy we frazach
poetów dni chwały upadków odbudowy
tętni miłością zabieganej codzienności

zmieniają się jednak melodie marzeń czasów
pobrzmiwają kresowo tu i tam zmagania
wędrujących nad Wisłę pragnieniem wolności
choćby chwilowo bezdomnej jak nadzieja
imigrantów układających strofy marszu
nie modlitwy u wrót dostatniej Europy

maleńki znak na mapie świata przywołuje
tych których przodkowie za chlebem wielką wodą
na syberyjskiej tułaczce powymierali
lkając –
do kraju tego gdzie kruszynę chleba podnoszą
z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba –

możecie powrócić zewsząd każdym lotem bo
jest Warszawa i jeszcze Polska póki my...

położna do beatyfikacji

*Pamięci położnej Stanisławy Leszczyńskiej,
która w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz (1942-1944)
ratowała noworodki przed zagładą*

pogodna cicha i pobożna drobnej budowy
w ciągłym strachu w warunkach brudu zimna głodu
i szczurów nadgryzających palce i nosy śpiących
odbierała porody więźniarek (niektóre zgwałcone przez nazistów)
wbrew rozkazom anioła śmierci (dr Mengele)
nie wyrzucała noworodków do beczek topielnych
zawiażywała pępowiny obmywała kroplami wody
zawijała w płatki ligniny i układała matkom do piersi

chroniła kobiety i siebie przed nienawiścią i zwątpieniem
otoczyła je miłością troską i żarliwą modlitwą
przy niej nie zmarło żadne dziecko i żadna matka
nie miała wpływu na dalszy los niemowląt i kobiet
dzieci żydowskie bezwzględnie zabijano
inne poddawano eksperymentom
niektóre wysyłano do adopcji w Niemczech
cierpiała nie mogąc ocalić tych niewinnych istot

potęgą człowieczeństwa polskiej kobiety
wobec barbarzyństwa niemieckiej kultury –
– dlaczego tak bardzo osamotniona?

Warszawa 2022

Jadwiga Simińska-Pacak

Sławomir Stalmach

Pełnia lata

Nasz świat składa się tylko z ludzi.
Dawno, dawno temu wyszliśmy z natury,
daleko w tyle zostawiliśmy duchy,
porzuciliśmy przyrodę: zwierzęta i rośliny,
wyrzekliśmy się boga – niczego się nie boimy,
a nawet marnie zaczęliśmy traktować czas,
jak służącego.
Ostatnie spojrzenie wstecz ponad głowami – tam gorące lato!
To przykład spełnienia.

Mocy in memoriam

Wierzchołkami drzew tasowała karty,
słońcem zmieniała zieleń w niebo,
mchu powłoką z rosy topiła poranny sen.
Robiła tak co dzień, dopóki mogła.
Wkrótce powiał ją dech zmęczenia,
podobny do widoku polany rozmytej w oddali,
łamany krokami chrustu,
jak zapach ulotny jeziora parującego.
Ona tkwi w pancerzu każdego z nas
– moc –
która bardziej niż my się chowa.
Zabębni jeszcze raz, czy dwa,
ile się da,
w strunę uderzy czujnie staccato,
kiedyś ostatni raz.

Punkt widzenia

W parku zaczyna pracować mój prywatny rozum.
Ptaki krzątają się u drzew, by dziobać,
obok leży leniwy kamień.
Byłem przekonany, że ludzie są najważniejsi,
na nich trzeba baczyć,

z nimi rozmawiać,
jednych kochać, innych – nie.
Przecież świat należy do ludzi!
Idąc alejkami
tracę tę pewnośc.
Nagle podmuch lekko trącił liść,
wtedy odskoczył wróbel spłoszony,
spojrzał z wyrzutem, jakby to była moja wina.
Ale nie – ustaliliśmy – to tylko
małe nieporozumienie.

Ostatnie święta

Zwolniono nas z pracy na tydzień przed Bożym Narodzeniem.
Akurat skończyliśmy ubierać drzewko świąteczne.
Wyszliśmy z naszych baraków robotniczych,
ktoś jeszcze dokręcił kran,
inny otworzył pustą lodówkę i przesunął franki.
Ale co z choinką?
Została z bombkami,
świecidelkami i łańcuchami ozdobnymi,
pośrodku pustych foteli,
stołów z popielniczkami
i wieszaków bez palt.

Szum rzeki

Wystartował gołąb, bijąc skrzydlami,
jak kartami książki.
Lecąc po przedwiośniu wzdłuż Wisły,
spłoszył wędkarza.
Ten stał oparty o krzyż ku pamięci topielca.
Tamtego krzyku nikt nie usłyszał.

Bożena Stefańska

Dłonie

dłonie witające,
dłonie przysięgające,
dłonie klaszczące,
dłonie protestujące,
dłonie grożące,
dłonie opadające,
dłonie spracowane,
dłonie kochające,
dłonie leczące,
dłonie błogosławiące.

Tata

Jesteś mój ojciec
w pierwszym moim słowie tata,
zmęczony nocnym czuwaniem,
moją chorobą i płaczem.

Pochylasz się nad łóżeczkiem,
bierzesz mnie na ręce,
tulisz do serca i już wiesz,
że nie oddasz mnie śmierci.

Rodzimy się oboje na nowo,
ty mój ojciec i ja twoje dziecko,
a to pierwsze moje słowo tata
wiąże nas z sobą na wieczność.

Z ducha miłości stworzeni
cudem do życia wracamy,
powołani do ojcostwa
jesteś moim ocaleniem.

Cicha i heroiczna

zatrzymać chwilę istnienia,
uśmiechem i łagodnością
obdarować bliskich,
z głębi duszy
wydobyć nadzieję,
jej dobroć i miłość
objawia się mimo
nieuleczalnej choroby,
cicha i heroiczna
w cierpieniu.

Światło

Wszyscy jesteśmy ze światła,
które wszechświat przenika,
ożywia wszelkie istnienie,
dodaje blasku barwom,
czasami oslepia lub gaśnie,
tworzy formy niezwykle,
wszyscy jesteśmy ze światła,
ale kim się staniemy?

Aktor

Czy gra bohatera,
czy sam się nim staje?
Świat iluzji i marzeń
zatrzymanych w kadrze.
Kto kogo pokona?
Czas czy transformacja?
Dobry aktor,
czy ma wyjść poza ramy
scenariusza zdarzeń?

Iwona Świerkula

Rozplątawaczka cieni

ma palce jaszczurki
aby z supłów wyluskiwać
co splątane nierówno

cienie zakochanych zrosnięte
wędrowców dłuższe od drogi
zmarłych wmurowane w ziemię
kotów przyczajone w płaskie myszy

rozkwitają w kleksy
by pod wieczór brzydnąć w lustrach
i nabierać smaku rozdeptanych jagód

Podglądanie sąsiadki

ustawia leżak w ogrodzie
ból chowa pod parasolem
radość nie wychodzi z cienia

jej ruchy spowolniały
zgasły oczy
nie jest w stanie wymówić dzień dobry
ujadanie psa plot jeszcze podwyższa

czyta o innych kobietach
współczuje łzami
na kilkadziesiąt stron zapomina o sobie

potem składa leżak
zwija parasol
i zatrzaskuje się od środka

Trzy wykrzykniki

gdy dzieci wyjechały na wakacje
jej świat stanął

przestało bulgotać

ściany się pogodziły
odetchnęły podłogi
balagan zastygł w bezruchu
nareszcie może za oknem usłyszeć sikorkę
i świerszcze chętniej wskakują do środka
nakremowane ręce
poduszka pod głową
może wyciągnąć się na kanapie
ale już w kalendarzu na czerwono
zaznaczony wielki powrót

potem zmiana
teraz ona pakuje walizki
a dzieci w tabletach zapisują chata wolna
z trzema wykrzyknikami

Erotyk bez części ciała

dwa lustra naprzeciw siebie
przytulmy się

Magdalena

rozejrzyj się
może na placu leżą jeszcze kamienie

w tłumie ci co ją używali
wtedy On zaczął pisać na piasku

i podeszła cisza

nikt wcześniej tak na nią nie patrzył
w jego oczach się podniosła

i odeszła inna
choć w tym samym ciele

w ciele którego
nikt wcześniej nie kochał

Opowieści Chicoreus Palmarosae

w wielkim uchu coś szumi
słyszę przekleństwa tych
co przestali wierzyć
w ocalenie
ktoś śpiewa szanty
czasem w obcym języku
niebieskość wsącza się w wiersz
pisk mew gdzieś wysoko
słowa rwie wiatr
pasaty gną południki
jak cięciwy luków
w dole żarłoczny ocean
pilnuje drogi do Indii

ci co przystawiają muszlę do ucha
usłyszą niejedną opowieść

Skansen

przy chalupie rzeźbionej wiatrami
gdacze podwórze
pachnie lipa
maliny przejrzwają
ale śliwki wciąż kwaśne
dno strumienia pstrzy się błękitem pruskim
dosycha siano w stodole
myszy zdeptują ślady kocura
pod bocianim gniazdem
chabrowieją blawatki
klangor drewna przy studni
a w czerpaku woda rozchlepczona

teraz przerwa na kawę
więc chodźmy na ganek

Iwona Świerkula

Elżbieta Szeptyńska

Letnia impresja

Noc cicho dzwoni. W niewidzialnym wietrze
wysokie trawy chylą się z namysłem.
Wiosna w agonii. Jej nieśmiałą zieleni
wyparły barwy mocne i soczyste.

Pnie się leniwie gorejąca kula.
Pod nieboskłonem wybuchu i płonie.
AVE! – dla świata. Noc przewyciężona.
Ptaków tryumfy na dnia przywitanie.

Pachną ogrody i szeleszczą sady.
Lśnią oprawione w złoto winne grona.
W otwartym oknie ktoś *Summertime* nuci.
Słucham jak psalmu, chwilą urzeczona.

W strudze świetlistej, mdlejąc od gorąca,
kwieciste suknie kobiet się kołyszą.
Niespodziewanie, jak różdżką dotknięte,
gęste powietrze zasnęło się ciszą.

Czas się zatrzymał spiekotą strudzony.
Musnęła wargi nuta zabłąkana.
Trwam, oniemiała, jak w kropli bursztynu
i haustem światła słonecznego pijana.

Trzy pieśni na bas baryton

Pamiętam

sl. Elżbieta Szeptyńska
muz. Maciej Malecki

Pamiętam czuły dotyk twoich dłoni,
twój uśmiech tkliwy i płomyk we włosach.
Pamiętam, biegłaś brzegiem do przystani,
madonno moja, słoneczna i bosa.

Na fali lekko łódka nas uniosła
do zawieszanej jak lustro przestrzeni
i cięły ciemny odmet drzewne wiosła,
przydając barw szmaragdu i zieleni.

Pamiętam, nagle się otwarło niebo,
nad widnokreśłem ptaki oszalale.
Od twoich włosów zapłonęła woda
w toni z purpury znacząc smugi białe.

Spazm fal, krzyk ptactwa i serc naszych bicie
dźwięków harmonią zawisło bezwiedną.
Wieczność i kosmos splątały się razem
i tak się stało, że byliśmy jedno.

Odeszłaś potem w krajobraz piaszczysty.
Czas się zatrzymał w smutku i stuporze.
Prysnęła szczęścia kryształowa kula.
Ślady stóp twoich pochłonęło morze.

Ślady stóp twoich pochłonęło morze.

Sen

ś. Elżbieta Szeptyńska
muż: Maciej Malecki

Śnię, że tańczę i tulę cię w ramionach.
Śnię przedziwny, błogosławiony sen,
lecz kiedy nocy już poblednie zaslona,
świt przebudzi kolejny dobry dzień.

Słyszysz, słyszysz? Tak bije serce ziemi.
Pulsujący i jednostajny rytm.
My kochankowie przed trwogą ocaleni,
wolni od win, od lęku i od widm.

Zabierz mnie, zabierz czy to dniem czy to nocą,
zabierz do mgławic, w kosmiczne przestrzenie,
gdzie złote skrzydła jak żagle lopocą,
gdzie się dla ciebie w muzykę zamienię.

Zatańcz ze mną, niech się ziemia kołysze.
W rytmie serca wirujemy twarzą w twarz.
Tańcząc zburzymy nieba bezkresną ciszę
przeciw bogom tam trzymającym straż.

Zatańcz ze mną, kołujemy po przestworzach,
pośród planet, księżyców, pośród gwiazd.
W szalonym tańcu wędrujemy po bezdrożach.
Podaj rękę, cały wszechświat jest nasz.

Zatańcz ze mną, cały wszechświat jest nasz.

Z tobą

sl. Elżbieta Szeptyńska
muz. Maciej Matecki

Wiatr zawiał gniewnie
i rozproszył chmury,
sypnęło słońce
pozłotą na ziemię.

Musnęło, zgodnie
z porządkiem natury,
zieleń nieśmiałą,
która w pąkach drzemie.

Ciszą rzeźbiona
smukła postać twoja
mży drganiem światła
pod moją powieką.

Podobna brzózce,
jakby pewna tego,
że się obraży
w pamięć przyobleką.

Jesteś tak blisko,
to ulotne chwile.
Jesteś, więc tylko
o jedno cię proszę:

bądź ciepła tchnieniem,
bądź w słonecznym pyłe,
w gałązkach wiotkich
i wszędzie po trosze.

Choć czas ucieka,
choć chwile bledną,
i chociaż mija
szczęśliwa godzina,

okruchy chwytam
jak ptactwo zgłodniałe,
wszystko mnie cieszy,
nawet dym z komina.

Elżbieta Szeptyńska

Emilia Tarasiuk

Przebudzenia

Przebudzenie – błogie wspomnienia
Płyną przekazy: ktoś pamięta
na zgodnej częstotliwości nadaje,
jak się wydaje.
Czas ucieka, rozlewisko hormonów szczęścia wysycha.

Spięcia elektryczne w mózgu
przekształcają obrazy w koszmary.
Te niemal z elektroniczną szybkością się przesuwają.
Przebudzenie – nic nie pamiętamy.
O wszystkim decydowały c h e m i a i f i z y k a.

Rytmy świata

Fazy księżyca, pory roku, wędrówki ptaków
W rytmach koła zataczają.
Ciemność i sen, światło i czuwanie dobierają się parami.
Za nimi wolno, wolno, szybko, szybko w rytmie dobowym
Hormony podążają.
Filozof powiedział: wszystko płynie
Wszystko i ciągle od początku po kres przez przemijanie!
A rytmy jak w muzyce, tyle tylko, że nie słyszalne
Którymi dyryguje ręka niewidzialna...
Z kosmosu

Smutny słowik

Był sobie słowik mały, bardzo wrażliwy na to, co się wokół działo.
Hałas przeszkadzał mu w zasypianiu, smog utrudniał oddychanie.
A kiedy pszczołki, zbierając pyłki, padały zatrute, nucił smutne melodie.
Ludzi tak wielu umierało na C o v i d
[i słowik im smutne pieśni dedykował.
Wkrótce odkrył z przerażeniem, że w jego repertuarze trel
[przeważają treny.
Zaszyl się w głuszy zarośli i płakał wraz z deszczem.

Noc i walkirie

Czarne chmury z północy gonią wybudzone duchy.
Popychany księżyc wynurza się, to znów tonie.
Za nimi walkirie na uskrzydłonych koniach,
Piękne wojowniczkki mkną w podniebnych lotach.
One decydują, kto z rycerzy zginie, a kto zwycięży w bojach.
Potem wspólnie uczują.
Zbrodnie ich na niebie migocą, tworząc zorzę.

Czarny kot musiał to wszystko widzieć.
Wystraszony grzbiet nastroszył i ucieka.
Pochwycony przez duchy do zadań specjalnych,
rozpłynął się w chmurze.

Gdy noc ustępuje, siła magii mija
I kot ląduje na własnych nogach.

Emilia Tarasink

Anna Tomkiel

1 [anima mea 1]

moja anima
błyskawiczna i uparta
znalazła sobie miejsce w tamtym chłopcu
na chwilę
przemówiła do mnie jego ustami
w słowach które były przeznaczone
dla niego

moja dusza jest taka potężna
że czasem nie jestem w stanie
utrzymać jej przy sobie

2 [anima mea 2]

za pierwszym razem
śpiewałeś dla mnie
nie znając mnie
ani wiedząc
jak wypełniasz mi serce
lecz w nocy
twoja dusza
trzymała mnie za rękę
jak najlepszy
przyjaciół

za drugim
– w moim domu
wyskoczyły korki!

3 [Zbigniewowi Herbertowi]

Przyjacielu z lat studenckich,
poeto piękna i intelektu –
dziś razem patrzymy na „pulchną Włoszkę”,
uśmiechając się zagadkowo;

Ty jesteś sam, i ja sama,
choć mieli tu być wszyscy.

Ja lubię zamknięte przestrzenie
klasztorów, bibliotek, uniwersytetów,
Ty – lubisz antyk,
choć chciałeś, by pozostał
po Tobie jakiś fresk w kościele.

Oboje zbieramy okruchy egzystencji:
karteczki z notatkami, bilety;
Ty – płomień, który myśli
ja zaledwie iskra,
eğer kenegdo dla tych,
których kochałam.

W mojej kolorowej celi
byskają kryształowe paciorki,
złote cekiny
i naostrzone ołówki;

rzucam czarne na białe,
rumaki znaków, które biegnąc
zachwyca interpretatorów
gotowych znaleźć
słoneczne pragnienia

oraz wiosła, dzięki którym
ich łódeczki
ruszą do przodu.

Wówczas
muśnie ich skrzydłami
rzeźbiarz wiatru.

4 [Prawda]

Prawda zawsze jest jedynie córką czasu,
powiedział wielki Leonardo.
Tak, aktualizacja statusu,
życiowego motta,

z powodu większej wiedzy
– są konieczne.

Wiem, to niewygodne,
cała ta pulsacja istnienia,
ślimak Fibonacciego,
postęp, zwątpienie, eureka.

Samowychowywanie
do wartości pozytywnych
także może się przejeść,
i wtedy
Wielkie Bum inauguruje kreację nowego,
bardziej spójnego z kolejnym momentem,
istnienia.

Indywidualizm,
carpe diem,
nadzieja,
że szczęście –
jest naszym prawem.

5 [Starówka]

na Starówce śpiewa ktoś
z dreadami
ooh bejbe bejbe
it's a wild word
a ja jestem
taka *child girl*
idę do bankomatu
po dwadzieścia złotych
na książkę tysiąc jednostronicowych
sztuk awangardowych Kenetha Kocha
miał fantazję
chłopak

Anna Tomkiel

Lidia Troć

Rozmowa w pociągu

Pytaj tylko drżeniem powiek zakłóć twoje słowa
Do czego tęsknisz
Nie tęsknię do dzieciństwa
Bo ono jest we mnie
Mama choć już dawno Jej nie ma
To czuję spokojny oddech szepczący dobranoc
Do tamtego lasu też nie
Zapisał się obrazem i szumem i widzę jak rośnie
Czy wracam myślami
Ja je tylko otwieram na tamte głosy
A one dobierają się same i zaskakują
Czy Ty mnie znasz
W powietrzu którym oddycham są przyjaciele
I tak oddechy budują wspólne drogi
Uściski dłoni
Moje powietrze jest z nich
Za szybą słońce zaszło
Na polach wierzby rosochate
Czego szukam
Co gubię po drodze
Ale dziękuję za każdy znak
Pociąg zwalnia bieg

Ojcowie nie odchodzą

Jak mnie czasem denerwował
Tym że nie narzeka
Że za mocno za cicho oddycha
Że nie ma zachcianek
No może krupnik na żeberkach
Że chwali
Że śpi z moimi wierszami pod poduszką
Przecież to niewygodne
A teraz
Rozgościł się we mnie

Nad brzegiem Tagu

Vasco da Gama
To stąd odpływał
A może znajdę ziarnko piasku Jeszcze z ciepłem jego stóp
Może bryza przywieje jego oddech
Przecież to gdzieś jest

Koncert jazzowy

Dźwięki słów
Werble dzwonki szepty trzepoty uśmiechy
Perkusista pieści talerze
Szeleści karcie drażni
Tak niby od niechcenia
A podłoga aż drży od uderzeń stopy
Niegrzeczny pianista w eleganckim garniturze
Łobuz klawiszy
Wypływa z nutami poza strefę spokoju
Z trąbki w dłoniach silnego mężczyzny
Gwałt ciszy
Eksplozja
A na strunach ciemnego kontrabasu
Śmieją się palce trącając je lekko
To znów mocno zadając im ból
Wszędzie słychać słowa

Na łące

Leżę na łące odurzona
Motyl trzepotem swych skrzydeł
Koi zaniepokojone myśli
Kwiaty barwią wewnętrzne krajobrazy
A przefruwający ptak
Nie zadziobie mnie swym trelem
Jak człowiek słowami

Dotyk

Róża umiera bez dotyku
Już powiew wiatru
Muśnięcia jesiennych liści
Nie wystarczą
Usłyszałam Twój dotyk motyli
Słowa zabrzmiały przestrzenią
Żyję

Modlitwa

Modłę się porankiem
Modłę się ciszą brzmiałą
W nocy
Modlitwę układam ciałem
W ruchach niezgrabnego tańca
W strugach potu miarowych
Ruchów podczas biegu
Jestem

Natura

Zadaję pytanie drzewu
Tyle masz gałęzi
Czy wszystkie szumią podobnie?
Czy zawsze w tym samym kierunku
A wszystkie jesteście jednym wielkim dębem
Zadaję pytanie niebu
Tyle masz chmur na wszystkie pogody
Czasem pioruny rozświecają cię złowrogo
A jednak jesteś jedno dla ciebie mnie
Dla niego
Dlaczego gałęzie chmury rozmawiają
Stale opowiadając różne historie
Pozostając jednością w inności
Dlaczego ja ty on ona oni mówią nie rozmawiając nie słuchając
Rozdzielają po kawałku niebo na strzępy
Już lipa nie daje chłodu

Nadzieja

Wczoraj
Obejrzałam film o przyjaźni
Nosorożca z krową
Szakala z psem
Dzisiaj
Otwieram z radością wszystkie okiennice

Ciągle śpiewa

Na ekranie Ona Amy Winehouse
Była muzyką
Głosem z ciała powietrza oczu
Porusza biodrami z chrypliwym głosem w parze
Koncert trwa
Zabiera mnie w tę podróż Narkotycznej nieoczywistości
Tańczę razem z Nią
Ona już się nie zestarzeje

Bez lustra

Na facebooku ktoś zamieścił zdjęcie
Na obskurnej ceglanej ścianie
Wisi umywalka
A nad nią zamiast lustra napis
„To jest piękne „
Możesz przejrzeć się w sobie

Czy koniec

Drzwi jej nie otworzyłeś
Sama je wyszarpnęła
Niecierpliwa
Nawet jednego wieczoru na pożegnanie
Ona podobno śmiertelna
Ty wiedziałeś
Ja wiedziałam
Czekaliśmy
Nie wierzyliśmy

Do Przyjaciela

Byleś lasem
A teraz las jest Tobą
Każda sosna świerk czy brzoza
Pachnie twoimi dłońmi
Pnie drzew jak Ty
Chropowate gładkie
Korony spokojne to znów szumią
W zamyśleniu lub niezgodzie
Zazielenisz wiosną drzewa
A jesienią pożegnasz z ostatnim liściem
Las jest Tobą
Lubię spacerować

Lidia Troć

Mira Umiastowska

Wiersz w kształcie światła z plakatu albo światłotonia

Świecą kocie lby na mokrej ulicy
plaskają grube zelówki depczą wodę
ścieka z parasolek i zegarów
na deptaku za dwadzieścia dziewiąta
depcze pośpiech

idą ludzie, idą ludzie do pracy
mijają siebie, i ciebie, ciężko wzdychają
na sierść ulicy, oczy spuszczone
niosą głowę w odrębne krainy
po liniach papilarnych marzeń z reklamy

zegary kręcą ze sobą zgodnie
jak automatyczne parasolki jak bączki
cisną czasu krople i myśli bezmyślne

o czarnej z ekspresu co splucze sen
ostatni, przemycony pod prąd
Nowy York albo Londyn

o niczym, o niczym płasają zelówki
cieknie mokre za rękaw za kołnierz
za dziesięć do metra wciąż przed dziewiątą

że nawet deszcz nie obudzi
kontraktu nieświadomości
z automatyczną parasolką

10 sierpnia 2022

Infantka

na parkowy posąg

Tak stać
przy fotelu z żeliwa może brązu
tak oprzeć się, unieść brodę
wygiąć biodro, uwydatnić

nie siadać
żeby z brązu sukienka nad udo
porwała do tańca frędzle
dwie warstwy, żeby obrotów więcej
się działo ach, żeby
i na obcasach dwudziestych lat
tak stać
z miną *de cabaret*
unieść dłoni gdy opada ramiączko
wymownie i etola osuwa się a stan
wyzwania ni drgnie
jak te uda umięśnione do tanga
do sceny której kadr wyzwała
wyzywa

Ach gdyby nie z brązu
ach, gdyby tak cofnąć się
do lat dwudziestych
krótkotrwałych, wymownych i z gestem
dosiąść
fotela *à la Louis XIV*
i zbrązowieć
nie wiedzieć że świat dalej... ach, za daleko
żelazem
na czerwone dywany...
ach...
.....
Daj zapalić!

Galeria znaków

czasem nasze drogi się krzyżują
a czasem zasiadamy w kręgu
by grać w kółko i krzyżyk
o państwa-miasta

budujemy woskowe legendy
w upał / zjeżdżamy z autostrad
po ślimakach zostają ślady nawigacji

gubimy się na krańcach tej samej prostej

a przecież nie ma końca – krągłość
policzków dyplomaty negocjatora

którego wiesz w nadinterpretacje
galerii znaków z których chyba
jedynie drogowe nie kłamią

Spam

Joanna Wiszniewska-Domańska, *Papierowe Miasto*, grafika

Podróżny pod różne
luźne i trwale
hotelowe domowe
kawiarniane
udaje się prawdy

w walizce księgarnie
naczyta natrwoni
zanim swoje posiadzie
przeżyje księgę legendę stworzy
zostawi
na wpisy obcych Wędrownych
na stosie wielkim Pomniejszych
podobnych, tych samych

stosie liter, wyrazów i dźwięków
które zagłuszy korek i czas
lecz on ma nadzieję inaczej
dlatego stoi u miasta
papierowych poruszeń

dopiero w drugiej ręce laptop
zaprasza do tańca – *let's kiss*
wirtualnych przekomarzań
w których klik i enter
ważą kropki puenty maile
trwonią prawdy chronią różne

Pan Podróżny ma swój pakt
z paktem takt, takie tam

w zębach dwie róże

W pestkach

Tak, wreszcie to zrozumiała
choć przeczuwała wedle złudzeń
– nie istnieje – jak tylko
w ich zmysłach

Tym bardziej, im bardziej
wedle pragnień gotowi nawet
użyć labędzia
– by urzeczywistnić

Wymyślili ją, żeby cierpieć
i żeby cierpiała
w oparach wdechów i wydechów
bez szczegółów a z falą w podbrzuszu

Zbiera jabłka Cézanne’a
i swoje z ogrodu przerabia w słoiki
by rozdać smak zanim pleśń
odstręczy kochanka

niedoczekanie
Ewa, Maria, Małgorzata
Wszystko dla Fausta
pod gałęziami czy w pestkach – Mefisto

4 sierpnia 2022, 10:48

Pod makatką

Poetka pod makatką z losiem do strumienia
zmienia dzień na czyste majtki
maraton trybunalski

zatrzymał bieg wydarzeń, przedłużył
o herbatę, taśmę białą-czerwoną
i biegacza z kurczem kończyn na chodniku

do ostatniego maratończyka – brzmi hasło
i policja zagradza drogę

łoś biegnie do strumienia
za nim klępy strudzone
skurczem kończyn krótszych

poetka pod makatką czesze poranek
gospodarz woła na kawę
i zioła pod nożem
nucą pieśń ostatnią
zanim trafią na języki

panelu dyskusyjnego
po wieczorze autorskim

jeleń, to znaczy łoś, biegnie do wodopoju
za nim łanie – bo może to jednak jeleń

10 czerwca 2022

Rada na pedagogiczne ciało

(fragment prozy *Plastikowe Miasto*, w przygotowaniu)

Nagromadziło, jak w chmurze wody. Teraz, Rada Nadzorcza będzie pompować podsumowanie. Rozliczać. Przedstawiać projekty. Dalsze projekty. Rozliczać dogłębniej. Proponować bardziej, rozliczać wnikliwiej.

– Kim jest Prezes firmy? – szepnęła do Miss, jakby spodziewała się odpowiedzi.

Ale Miss tylko wzruszyła ramionami i szybko przyjęła postawę zasadniczą, bowiem oko kamery właśnie świdrowało jej zamysł. Spuściła oczy.

Tymczasem Pani Prezes, która bowiem była kobietą, wspomaganą przez dwie vice, tzn. vicki, również kobiety, co należało uwzględnić zgodnie z trendem różnicowania płci, perorowała należycie, prężąc się i spinając rumieniec w grymas sugerujący zadowolenie, bowiem jedno oko Wielkiego Najeźdźcy było ustawione wprost na nią.

Co ona tam ma w środku, tego się Ell raczej nie dowie, choć przypuszczała: albo świetne przystosowanie albo doskonały kamuflaż. Jak ośmiornica! Mistrzyni dostosowania!

Czy w zgodzie z Wielkim Okiem była, czy też więźniem podległym *Panopticum*?

– Teraz wszystkie prace będą wędrowały do *big data*, czyli do tak zwanej Chmury – tłumaczyła Prezes. – Tam będą gromadzone wyniki uczenia, tempo uczenia, stosunek do nauki, stosunek do kolegów, tudzież nauczyciela. Stamtąd każdy Wielki Rodzic, będzie mógł odczytać informację o swoim milusińskim Milenialsie. Tam złożyć donos lub tylko wyrazić niezadowolenie na czyniącego krzywdę krzywdzonemu – poprawiła garsonkę.

Siedzieli w wielkiej, chyba dawnej sali gimnastycznej, przestosowanej na nieczynienie zgromadzeń, a w razie konieczności, jak ta dzisiejsza, umożliwiającej przeprowadzenie stada przez Wielkie Oko.

– Ell, my bierzemy udział w jakimś filmie, prawda? – Miss wyczaiła moment, żeby wyszeptać swoje wątpliwości.

– Obawiam się, że nie – odszepnęła Ell – to raczej Wielki Eksperyment! Na skalę światową. Gorzej niż film.

Oko odjechało akurat w drugą stronę auli. Poza tym maseczki nie były transparentne, więc i tak by nie rozpoznało ruchu warg. Ale, strzeżonego Pan Bóg strzeże. Takie wspomaganie. Teraz Oko to taki bóg. Zawsze cię widzi, zawsze ostrzeże, nawet przed samym sobą. Pstryk! I już się mitygujesz. Pełna samokontrola. Wszystko zgodnie z *Panopticum*. Oko nie musi akurat patrzeć, żeby więzień odsłoniętej celi, albo izolatorium, miał świadomość bycia kontrolowanym. On nie zna chwili i na tym to polega. Wtedy wie, że kontrolowany jest *Non stop*.

Miśka i Ell jeszcze w to nie wierzą, dlatego pozwalają sobie na, jak im się wydaje, samosterowność. Choć trzeba uważać.

– Madame Elle! – zwróciła się oficjalne Pani Prezes.

Po Ell przebiegł gorący dreszcz, na szczęście było to tylko przywołanie do porządku. Jednak patrzą, pomyślała. Nie lubiła uwag publicznych. Raczej nie należały do przyjemnych, przeważnie były to publiczne modelowania zachowań z naciskiem na: jak nie należy, czego nie należy. Upokorzenie! Psia mać!

Życie wewnętrzne nie należało już do znaczeń, raczej miało go nie być. Pełna kontrola. Pełna sterowność.

– Dlaczego nie planuje Pani przekazywania prac uczniów do Chmury i nie przekazuje Pani? – no teraz to było wyzwanie wprost – Może mi Pani to wyjaśnić! Madame Elle!

– *Je ne suis pas prostituée!* – automatycznie odpowiedziała Ell, wrażliwa na punkcie swojej tożsamości, którą „madame prezes” już drugi raz dźgnęła, świadomie bądź nie. W kulturze francuskiej tak się zwraca do prostytutki: madame plus imię.

– *Je m'appelle Rodo!* Nazywam się Rodo! – domknęła oficjalnie. – Madame Rodo! – dolożyła z akcentem.

Oczy Pani Prezes przypominały świdrowanie kamery. Po Ell przeszła druga fala gorąca. Nie dam się, pomyślała. Nie dam! Odczekała chwilę, wzięła oddech. Rozejrzała się to po twarzach kolegów, które choć do połowy zamaskowane, przez czoła zdradzały niepokój, to po „wickach”. Zmarszczone brwi zdawały się mówić: dobrze, że to nie ja, w duchu trzęsąc zakazane teorie spiskowe. To rozejrzała się po tych twarzach utrudzonych. Po tych twarzach wyrobionych orką, której zostali poddani bez zapytania o zgodę. Taki był rozkaz. A teraz nauczyciel to urzędnik. Ma obowiązek wykonywać nakazy, dokonywać eksperymentów edukacyjnych, być poddawany badaniu wydolności psycho-intelektualno-sprawnościowej. Ponad normę, ponad miarę. Bo przecież kolejna platforma zdalnego ceremoniału jeszcze nie przetestowana! A już czeka następna! Trzeba zdążyć przed wakacjami, bo od września nie wiadomo, co będzie.

A będzie, wiadomo co, domyśla się Ell. Rozejrzała się po kolegach przywiązanych do krzesełek poustawianych zgodnie z hasłem, co dwa metry. Zgodnie z intencją dobrej widzialności – w okrąg; może raczej w elipsę, bo przecież sala gimnastyczna nie umiała dobrze odwzorować rotundy.

– Chcą nas wszystkich obwiązać sznurkiem! – wypaliła. – Masczki to tylko symbol! Próba znoszenia niewygody. Próba dostosowania się. Chcą zaszeregować w tunele, którymi nauczyli nas się poruszać. Już poruszamy się pod sznurek. Pod zakaz. Pod nakaz, pod ustawę, pod rozkaz. Myślenie odłożone na kiedy indziej, może wcale. Poruszamy się jak owce, jak stado baranów prowadzonych przez... nie nie... nie pasterza. Wystarczy już elektryczny pastuch. Co dalej?

Obserwujące ucznia w Chinach¹ – oko kamery, spacyfikowało jego wolę. Wszyscy siedzą karnie, bo Oko zobaczy jego grymas, jego niewłaściwy ruch, nie to pisanie, ściąganie itp. Czy nauczyciel w Chinach ma łatwiej, bo uczniowie nie dopuszczają się złych manier? Bezczelności, na którą u nas sobie pozwalają bezkarnie, bo Wielki Rodzic rozliczy każde doniesienie młodego szpicla? Właściwie taki Młody Szpicel to też oko kamery, myśli Ell. Odpowiadając na pytanie: jednak nie. Nie ma łatwiej nauczyciel w Chinach. Przecież i on nie jest wolny od Oka Wielkiego Czuwania. Chyba że przywykł.

Więc my też, tak jak w Chinach, jesteśmy prowadzeni na rzeź. Na rzeź wiedzy. Na rzeź myśli. Na rzeź woli. Nie wiem co gorsze? Wyjałowienie, wysuszenie...

– Z Chmury – perorowała Prezes – można będzie zaczerpnąć deszczu o zachowaniach i wiedzy zdobywanej przez ucznia; o jego zdolnościach, predyspozycjach do odpowiedniego uszeregowania. Łowcy głów, policja – już mają łatwiej!

¹ Kai Strittmatter, *Chiny 5.0, jak powstaje cyfrowa dyktatura*, W.A.B., Warszawa 2020

Ell drgnęła.

„Można będzie zaczerpnąć wody o nauczycielu; jego niesubordynacji, samowoli lub woli nauczania woli myślenia młodego człowieka, zamykane go w termitiery lub kopce, hodowanego na społecznego termita lub mrówkę.

Nie potrzeba szczepionki. Szczepionki już mamy, w głowach, psychologiczne wodze, zapuszczone w mentalność strachu. Teraz liczy się technologia śledzenia. Zostaliśmy zaindukowani zewnątrz i wewnątrz. Przyzwyczajmy się...”

– Mamo, zobacz! – ten manekin na wystawie porusza ustami! On gada! On gada do siebie! Świr jakiś! – mały chłopiec, prowadzony za rękę przez matkę ociągał się, oglądając na szybę.

– Nie – odparła matka. Prawdopodobnie matka. – On rozmawia z tym drugim obok. Chodź już! – szarpnęła bardziej.

– One gadają! Świry jakieś! Świry obydwaj!...

Ciekawe, jak też on to wypatrzył, myśli Ell. Przecież obie mają maseczki? Może zostały oszukane? że nietransparentne? że przez nie nie widać?! Sprzedano im kit! Teraz one się tu prostytuują. Przenicowane na wskroś. Sprzedają swoje talenty za bezcen. Nie wiedzą, kto trzyma niewidzialne cugle, ani kto je przehandlował.

Mira Umiastowska

Bożena Węgrzynek

Ten Księżyc

ten wiatr przyniesie odmianę
popołudnie dyszy od upału
tchu złapać nie mogę
wietrze więc

ta noc przyniesie odmianę
sen spóźnił się na ostatni pociąg
biegnie po pustym peronie
czas goni

wiatr i marzenie zasypiają
ze mną na cudzej poduszce
a wędrujące po ścianie cienie
szukają się w poświacie

widziałam Koźli Księżyc
chłodno uśmiechnięty
patrzył ciekawie na wiatr
i moją postać na Ziemi

Okno

widzę piękno świata
objawione głosami budzącego się dnia
gdy ptaki głoszą cud natury
za zasłoną mgieł lekkich świtaniami

podziwiam urok świetlistych Panien
za dnia tańczących z motylem na łące
gdy jasne słońce gorące
przegląda się w źrenicach stokrotek
a one wesole w żółci i w bieli
w dmuchawców sukienkach
trzymają amulety w rękach
wieczorem obleką suknie przejrzyste
makowo czerwone

płatkiem kwiatu podkreślą ust urodę
by nocą zwodzić w takt żabiego grania
chłopca do kochania

potem noc drzemie zmęczona na granicy dnia
gdy ptaki znów nie śpią poranne
mgły ciszą otuliły senną Pannę
takie w moim oknie świata widzę piękno

Jeszcze...

borówki są jeszcze lekko kwaśne
czerwienieją
niskie krzewinki
uginają się pod ich ciężarem

borówek ślimaki nie jedzą
woskowa czerwień owoców
odbijają się w ich ciekawskich oczach
uwodzi delikatnym zapachem

trafiają się jeszcze jagody
lekko gorzkawe przejrzałe
zapomniane pozostaną
dla spóźnialskich

przecież lipcowe
trofea jagodników
skończyły żywot w kobiałkach
i w słodkich wypiekach

moje myśli krążą wokół lasu
wokół wrzosowisk
wokół kopców uwijających się
jeszcze mrówek

liczę coraz krótsze dni
las się powtarza
patrzę i czekam
z nadzieją na jeszcze

W lesie

cisza
lato wpatrzone
w młodej jesieni
oczy wielobarwne
mocują się radośnie
baraszkują

za dnia rozkładają się
jasne plamy słońca
na trawach
i wrzosowiskach
cicho strzela pod nogami
suchy chrust
brzuchate bąki i trzmiele
nie boją się ludzi
piją ostatnie toasty
nektarów wrzosowych
nawet sok przejrzałych borówek
je nęci

znowu trzask cichy
gdy pęka ściółka
pod naporem grzybiego
kapelusza
co chciał zachwycić sobą
nieruchome pająki
rogaty ślimak
wgryza się w słodkawy
miąższ łapczywie
pracowicie wyrzeźbi dołek
w którym zbierze się
mgła poranna

w ciszy lasu
przytulam ucho do ziemi
i podglądam
jak lato mocuje się
baraszkuje
z jesienią młodą

Granica

mówisz że inspiruję cię do
wierszy pisania
a ja chciałam ci tylko
świt pokazać
słońce przenikające
mgłę na horyzoncie

mówisz że inspiruję cię do
dzikiej radości
gdy jak dzieci
baraszkujemy w trawie
i w srebrnego jeziora wodzie
za naszym oknem

mówisz, że inspiruję cię do
kochania
a ja chciałam ci tylko
noc pokazać
i Księżyc z wyrzeźbionym uśmiechem
zadziwiony nad ziemskim grzechem

to nie ja to tylko
poddanie się urokowi jednej chwili
poranka i nocy odkrytej
w książkach rozrzuconych w nieładzie
a zakładki kolorowe
znowu zawróciły nam w głowie

odkrywamy że w pisaniu
i miłości nie ma ograniczeń
wiersz i kochanie
wyzwalają wszystko
czego mędrcy i głupcy szukają
stając na granicy zmysłów

Bożena Węgrzynek

Jadwiga Wielgat-Hejduk

Słup

Wraz z późną dorosłością wracamy do wspomnień z dawnych lat, wyolbrzymiamy nawet drobne, mało znaczące historie, takie jakie opowiadała Anna, moja nowa znajoma. Swoich bliskich odwiedzała tylko przy grobach, gdy modliła się za ich dusze, i dlatego nazbyt często przenosiła się w przeszłość.

Przed laty mieszkała na przedmieściu dużego miasta i przez wiele lat chodziła do przystanku autobusowego jedyną ulicą, po której jeździł miejski środek lokomocji. W dzieciństwie i młodości do szkoły, później do pracy. Była to niezadbana droga, w słotne dni błotnista, w lecie z unoszącymi się tumanami kurzu. Przed laty ktoś nazwał ją przekornie chodnikiem. Pewnego dnia na tabliczce przypiętej do siatki ogrodzeniowej pojawiła się nazwa: „Kwiecista”. Nadana przez urzędników wydawała się niewłaściwa, ponieważ jedynymi kwiatami, jakie można było tam podziwiać, były pojawiające się wiosną żółte mlecze. Na środku tej ulicy stał betonowy słup. Wysoki, kostropaty. Miedzy nim a jezdnią znajdowało się wąziutkie przejście dla pieszych. Dlatego od strony działek wydeptano półkolistą ścieżkę. W zależności od pogody ta mini obwodnica powiększała się lub zmniejszała. Obiekt był nieznanego pochodzenia, nikt nie wiedział, do czego mógł być przydatny i od kiedy tam stał. Niekiedy służył mieszkańcom jako punkt orientacyjny. Mówili wtedy „przed słupem” albo „za słupem”.

Pewnego roku wczesną wiosną na ulicy przyjechały samochody ciężarowe wypełnione kwadratowymi, szarymi płytami.

– Będziemy mieli trotuar. Zawitała cywilizacja – radośnie komentowali zdążający do autobusu.

Po kilku dniach pojawili się brukarze, a mieszkańcy z niecierpliwością czekali na zakończenie układania chodnika, aby przed wejściem do autobusu nie musieli zeskrobywać błota z butów.

Wkrótce ukończono ten wyczekiwany trakt dla pieszych. Okazało się, że jest ładny, równy, tyle że pozostał nadal wąski. Jeśli ktoś zbliżał się z przeciwnego kierunku, idący parami musieli formować szyk gęsiego.

Słup pozostał na swoim miejscu, a wysoki krawężnik od strony zabudowań uniemożliwiał przejazd dziecięcym wózkom. Przypadkowi piesi, zlorzezcząc wykonawcom, ręcznie przenosili te niemowlęce pojazdy.

Anna, przechodząc tą drogą, zastanawiała się, w jakim celu pozostawiono to dziwadło. Snuła domysły, że może jest to jakiś zabytek. Ale nie średniowieczny pręgierz, ani dziewiętnastowieczna latarnia. Nie mógł również służyć jako słup ogłoszeniowy.

Na przystanku toczyły się ożywione dyskusje. Po omówieniu bieżących spraw politycznych oraz miejscowych nowinek, które kioskarka przekazywała kupującym bilety lub papierosy, w dialogach i monologach pojawiał się problem słupa. Przyjazd autobusu kończył rozmowy.

Pewnego dnia wyglądający na urzędnika mężczyzna w szarym płaszczu usiłował dowodzić, że słupa nie było na starych planach dzielnicy i władze o nim nie wiedziały.

Inny z wiecznie przyklejonym do ust papierosem, że tu pewnie wydarzyło się coś ważnego i zostawili go na pamiątkę.

– A teraz nikt o nas nie dba – zaczął narzekać, po czym przydeptał peta na niedawno położonych płytach.

Kobieta w zielonym berecie, że zrozumiałaby, gdyby to było drzewo. Mogłoby pozostać. Ten z papierosem, że wtedy wystarczyłaby pila i po robocie. Broniąca przyrody usiłowała pouczyć amatora-drwala, ale nie dokończyła, bo zza zakrętu wyłonił się autobus.

Niska, otyła kobieta, wspinając się na stopnie autobusu, pocieszała, że przynajmniej jest równa droga.

Takie rozważania jednoczyły podróżnych. Nie znali swoich nazwisk, a stawali się niemal przyjaciółmi.

Ktoregoś poranka dotychczas cicho przysłuchująca się rozmowom dziewczynka odkryła przyczynę pozostawienia słupa.

– Mamusiu, ten słup jest po to, aby piesek tam robił siusiu! – powiedziała głośno i wskazała palcem.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Przy słupie stał na trzech łapach mały, kudłaty kundelek, a czwartą tylną unosił do góry.

Ktoś z oczekujących, uśmiechając się, głośno pochwalił małą:

– Brawo! Rozwiązałaś zagadkę!

Dziecko ukryło zawstydzoną i zaczerwienioną z emocji buzię w fałdach płaszcza swojej mamy. Spod czapeczki wychylił się warkoczyk koloru marchewki. Przypominał wiewiórczą kitkę.

Jadwiga Wielgat-Hejduk

Piotr Wilczkowski

Łzy

Zakryj oczy, ale dłoni które dotykały obrazu nie zaciskaj w pięści.
By złagodzić ból wystarczą banalne łzy.
Widzisz – masz jeszcze ochotę by prosić o pomoc.
Spłynie więc pierwsza łza ukojenia – życie.

Drugą będzie złość.
Nie musisz jej otwierać drzwi. Wyważy je sama.
Daj się jej wypłakać.
Jest tak samo ślepa i bezbronna jak miłość.

A kiedy już obeschną
Wspomnij, że istnieje ktoś komu nic o tym wszystkim nie musisz mówić.
On to wie.
On to wie o tobie.

7.07.2022

Bytowanie

Jeszcze jest bytem ale powoli staje się wspomnieniem.
Czas słowo w myśl, a widok w obraz zmienia.
Trwanie w pył rozsypane wiatr do jutra zgubi.
Popiół nocą wystygnie, nad ranem blask straci.

Pytania zmatowieją. Dźwięk ucichnie z echem.
To co pokazać mogłem muszę opowiedzieć.
Mgła z oczu łzą odpłynie...
Leciutko zaboli, gdy ostrze czasu bliznę zmarszczki wyrzeźbi na twarzy.

4.08.2022

Kłosa i kąkole

Temu kto we wszechmoc zła nie wierzy, zła nie wytłumaczysz.
Że to zwykle przeciwieństwo Boga – nigdy nie zrozumie.
Bóg jest wieczny, więc i to co mu przeciwne będzie zawsze trwało.
Nie da się zabić, ale ten kto nie wierzy spróbuje. Inaczej nie umie.

Zło to alternatywa dobra – od nas więc zależy
jaki kształt przyjmie sens naszego życia.
Wybór dobra, to jedyny sposób aby zło pokonać.
Dla wielu to tajemnica trudna do odkrycia.

Uwierzyć w mądrość Boga równie trudno jak uwierzyć w życie.
I chyba nie każdy człowiek pojąć to potrafi.
Kto widzi tylko jedną stronę, nie zrozumie życia.
Ale Boga też nie zrozumie i donikąd trafi.

5.04.2022

Przyjaźń

Potknąłem się o prawdę, która mówiła o faktach a nie o miłości.
Stąd wiem, że życie nie jest egzystencją białka.
Kolekcja jest zbiorem martwym – zachowaj ją sobie.
Skoro siedzimy tu razem to milczmy o słowach.
Przecież tak dobrze wiemy czym istotność życia,
gdzie zapuszcza korzenie i skąd czerpie światło.
Po co więc, skoro tu jesteś, coś więcej prócz ciszy?
Już w ziarnie jest słodki smak owocu.
Czas drzwi cicho zamknął.

15.05.2021

Okienko

Kiedy się czegoś nie wie, warto mądrych spytać.
Ale kiedy się wie, jeszcze bardziej warto.
Bo wiedza, to taki mały lufcik przez który świat widać.
To okienko, i własną głowę warto mieć otwartą.

Czy wiedza wzrok poprawia? Myślę, że poprawia.
Podobnie jest ze słuchem i w zasadzie z wszystkimi zmysłami.
Bo świat to bezduszne, martwe rekwizyty.
A życie dajemy tym przedmiotom w gruncie rzeczy sami.
Dobrze jest przez otwarte okienko przyglądać się światu
Bo szybko, choćby i czysta, pełnego obrazu przepuścić nie zdoła.
Szeroko pootwierajcie okna i przewietrzcie głowy.
Zobaczycie ile nowych nieskończoności krąży dookoła.

25.08.2022

Piotr Wilczkowski

Filip Żółcik

Odplywa stary statek

Na horyzoncie zdarzeń
Między blaskiem słońca i widnokregiem
Odplywa stary statek
Pelen najcenniejszych kamieni świata
Pelen złota i tajemnic
Odplywa bez pożegnania
Nieuchronnie lecz z godnością

A ja stoję na brzegu
Z oczami jak ze szkła
Zasmucony z pełną świadomością
Odplywają skarby nie do podrobienia
Odchodzą na zawsze,
odchodzą do zapomnienia
To ostatnie chwile to ostatnie momenty
Statek przepływa jak przez palce
Żegnam największych tego świata

Marsz śmierci

Oni mówią że Śmierć jest Smaczna
Oni mówią że Śmierć jest Słodka
Podjudzani przez węża co syczy
Mówią krzyczą jego głosem
I jego jad niosą w szeregu
Uginają Niebo kneblują ręce
I marsz i marsz i marsz
Idą w tango
Co za taniec
Z sercem więc bez serca
Marsz jak do kobierca
I głośniej i głośniej i głośniej
Pociągiem wojują
Od pociągu nie giną
Broń zimna w dłoni
Karabin przy skroni
Wdech i wydech i śmierć

I toną we krwi matki swojej
Zwłoki drętwe syna
Płaczą oni, płacze Jerozolima
Skąpani wykąpani
Kochali przestali
Wierzyli przestali
Dziś rozum ze stali
Patrzyli widzieli
Jęczeli konali
Jak wyschnięte róże
Jak zdechłe ptaki
Płoną na górze
Płoną na dole
Brakuje już ziemi
Brakuje płomieni

A ja zasypiam słodko
Na grobie poległych braci
Zasypiam w spokoju
W ciszy, w pokoju
Ni lzy krwawej
Ni oczu wyschniętych
Depczę po ich głowach
Depczę po ich nogach
I ziewam i śpiewam
I w radości i w smutku
Mam wybór mam różnie
Czasem pięknie
Częściej próżnie.

Prezydenci nie umierają

W przeciwieństwie do nas
Prezydenci nie umierają
Lecz spacerują w przestrzeni
Są wszechobecni i wieczni
Są zawsze żywi w świadomości ludzi
I w Wikipedii
A ich głosy były są i będą słuchane
Jednych bardziej drugich mniej
Ale jednak

A jak wybija ich godzina
To umierają tylko na niby
Kładą się w apartamencie z jesionki
Ze zgaszonym światłem
I pod drogim marmurem
Rechoczą bez końca
Z ludzi którzy nad nimi płaczą
Z ich naiwności
Bo przecież prezydenci nigdy nie umierają

Kierunek Znana

Jest wiosenny wieczór
Rok 2020
Jadę autobusem
Kierunek Znana
Spoglądam raz przez okno
Na warkot aut i konstelacje ich świateł
A raz na ludzi
Jakby garstkę niedobitków
Zakrytych maskami i wirtualnym lateksem
Wpatrzeni w ekrany swoich telefonów
Uciekają od rzeczywistości
Widzę zmęczone oczy zatroskane
Zaniepokojone i stęsknione

Nie rozumiem co ich tak martwi
Dla mnie nic się nie zmieniło
Pustka odległość samotność
Gęsta mgła całe dnie w domu
Przecież to jest normalne
Tak było zawsze
Czy może być inaczej?

Do pokolenia

Moi bracia i moje siostry
Drogie osoby możni i biedni młodzi
Artyści i rzemieślnicy
Bankowcy i robotnicy

Nie budujcie znów muru
Który z pełnym szczęścia sercem
Burzyli nasi ojcowie
Szanujcie ich gniew szanujcie ich zryw

Nie odwracajcie się od damy z różańcem
Nie plujcie na kobietę z błyskawicą
Nie plugawcie narodów świata
Nie plugawcie krwi poległych o wolność

Nie wojujcie krzyżem
Nie wojujcie tęczowym sztandarem
Te symbole nie są po to
One mają być pokojem mają być jak złoto

A na koniec schowajcie miecz do pochwy
Przesuńcie się
Zróbcie trochę miejsca
Podajcie sobie dłonie.

Nie płacz nad grobem minionych dni

Kochanie
Obiecaj mi że nie zapłaczesz
Nad grobem minionych dni
Nie padniesz na ziemię z żalu
Nie zaszlochasz w pogrzebowym szeregu

A w dniu w którym umrę uśmiechnij się
Stań przed lustrem i wiedz że jestem
Nie odszedłem
Będę choć нефізyczny
Ale zawsze w twym sercu
Popatrzę na ciebie złapię za ramię

A nocą wtulę się w ciebie
Wślucham się w bicie twego serca
Ucałuję twój policzek i szyję
Więc nie bój się
Będę przy tobie
Przyrzekam

Bunt

Jestem elementem szarego dnia
Niczym matematyczna liczba
Jedna z wielu
Niby inna, lecz taka sama

Gubię się
Pośród uporządkowanych szeregów
Z którymi podążam w zwane

Jednak pragnę więcej
Oderwać się
Uciec przed siebie
Nie myśleć o niczym więcej

Chciałbym porzucić wszystko
Wyruszyć transatlantykiem do Nowego Świata
I tam, popaść rutynę

Która choćby przez chwilę byłaby inna
Udając różnorodność

Chciałbym poczuć inność
Choćby przez moment
Zatopiony w gwarze ulicy
Harlemu czy Bronksu

Chciałbym...
Rutynę zamienić w rutynę
A potem znowu odejść

Kosmonauta

Kiedy kosmonauta opuszczał Ziemię
Nie myślał zbyt wiele
Tylko o poczuciu misji i eksplorowania
Żadnej filozofii, nic głębokiego
No może jeszcze trochę astronomii
Trochę poczucia spełniania i docenienia
Ale nic więcej

Po prostu leciał w nieznana

A kiedy już doleciał
I stanął na obcej planecie
Dopiero zrozumiał kim jest
Kimś bardzo małym
Bo jego świat, taki duży
Pelen oceanów, lądów i rzek
Okazał się malutką i ledwie widoczną
Plamą w prawdziwym świecie.

Filip Żółcik

Spis treści

Nowa antologia naszej Stajni (Piotr Müldner-Nieckowski).	5
Henryk Ditchen, Satyriada	
Pech modelki	7
Muchy i muszki	8
Przed próbą	9
Tautogram na literę K.	10
Migawka z letniej podróży	11
Maria Domżał-Wasilewska	
Dafnia	12
Marzenie	12
Medytacja	13
Oddział „O”	14
Trudne podejście	14
Beata Fijałkowska	
* * *	16
Zagubiątko	16
Noc	16
Bardzo stary erotyk	16
Hanna Fołtyn	
Przemilczenie	17
Zmęczonym wzrokiem	17
Bajka o malarzu.	18
Ptak z lekiem wysokości (proza)	19
Przypadkowa ofiara (proza)	22
Stefan (proza)	26
Iza Galicka	
* * *	34
* * *	34
O układaniu wierszy	35
Bezsensowność	35
Kobiecość	36
Królowa Nocy (proza)	37
Marek Adam Grabowski	
Pomniki w Śródmieściu (proza).	38
Życie na prowincji jest spokojne (proza)	40
Jolanta Maria Grotte	
Niezapomniany lot (proza)	44

Henryk Kamiński	
Kolęda	46
Walentyna Karwowska	
Linie papilarne nieba	47
Na chmurze puszystej	48
Wszędzie cisza	48
W złotych ramach	49
Alarm	49
Korekta przemijania	50
e-Człowieku	50
W atmosferze pogody	50
Wdech – wydech	61
Rzecz o kamieniu (proza)	51
Jerzy Kawiak	
Czekam na....	54
Deszcz i płatek	54
Piórko pawia.	56
Twój portret	56
Barbara Kołacz	
Album z muzyką	58
Ballada osiedlowa	58
Droga	59
Macierzyństwo	60
Wiślane przeblyski.	61
Beata Ewa Komarnicka, Wiersze dla dzieci	
W domku na wsi	63
Sen Krzysia	64
Czary-mary	65
Bał w lesie	65
Moja jesień	66
Klara Kostrzewa	
Matko i Duchu	67
Deszcz w ziemię	68
Wrażliwość	68
Lustrzane odbicia	69
Joanna Kożan-Łazor, Inspiracje	
Litera	71
Pustka.	71
Nie pozwól	71
Zmęczenie	72
Obecność	72
Odchodząc	73
Dzień jak co dzień	73
Epikryza	73
Haruki	73
Haiku	74

Bożena Urszula Kozłowska	
Październikowy ogródek	75
Dobry dzień	75
Wydaje się	75
W siódlach wyobrażeń	76
Skarb w maliniaku (proza)	76
Bożena Krótka	
***	78
Jeszcze tyle	78
Burza	79
W kuchni.	79
Spotkanie klasowe	80
Pomimo	80
Kintsugi	81
Anna Kulesz	
przemijanie	82
bez powrotu	82
niepewność	83
najważniejsze	84
złotowłosa z mgły	84
fiolki dla mamy	85
Katarzyna Alicja Liszewska	
***	86
Ewolucja	86
Alina Makówka	
Modlitwa niedzielna	87
Dziękuję	87
Anna Mikos	
Matka zasnęła	88
Motyle w październiku	89
Drzewa	89
Dzień w Radachówce	90
Tomasz Mroczkowski	
Gedeon	92
Jerozolima	92
Samson	93
Nuty niosą modlitwę	93
Drogowskazy	94
Cisi	95
Wojciech Namysł	
Gaudete	96
Adwent	97
Czas	98
Kobieta trzymająca wagę	98
Pa!	99

Krystyna Obara-Morawska

Odwiedziny	100
Solo na blachę	100
Przymiarka	101
Przejście graniczne.	102
Chwile z kawą	102
Przebudzenie	103
Koszule z popeliny.	103

Krystyna Rejniak

Historia	105
Pamięć wyklętym	105
Mundur	106
Dzieci warszawskie	106
W lesie	107
Pada śnieg	107
Smart-fony	108

Jadwiga Siwińska-Pacak

ziemia przetrzebiona 2020-2022	109
ścieki obywatelskie 2020	109
pendolino do Warszawy	110
położna do beatyfikacji	111

Sławomir Stalmach

Pelnia lata	112
Mocy in memoriam	112
Punkt widzenia	112
Ostatnie święta	113
Szum rzeki	113

Bożena Stefańska

Dłonie	114
Tata	114
Cicha i heroiczna	115
Światło	115
Aktor	115

Iwona Świerkula

Rozplątawaczka cieni	116
Podglądanie sąsiadki	116
Trzy wykrzykniki	116
Erotyk bez części ciała	117
Magdalena	117
Opowieści Chicoreus Palmarosae	118
Skansen	118

Elżbieta Szeptyńska

Letnia impresja	119
Pamiętam (pieśń)	119
Sen (pieśń)	120
Z tobą (pieśń)	121

Emilia Tarasiuk

Przebudzenia	123
Rytm świata	123
Smutny słowik	123
Noc i walkirie	124

Anna Tomkiel

1 [anima mea 1].	125
2 [anima mea 2].	125
3 [Zbigniewowi Herbertowi]	125
4 [Prawda]	126
5 [Starówka]	127

Lidia Troć

Rozmowa w pociągu	128
Ojcowie nie odchodzą	128
Nad brzegiem Tagu	129
Koncert jazzowy	129
Na łące	129
Dotyk	130
Modlitwa	130
Natura	130
Nadzieja	131
Ciągle śpiewa	131
Bez lustra	131
Czy koniec	131
Do przyjaciela	132

Mira Umiastowska

Wiersz w kształcie światła z plakatu...	133
Infantka	133
Galeria znaków	134
Spam	135
W pestkach	136
Pod makatką	136
Rada na pedagogiczne ciało (proza)	137

Bożena Węgrzynek

Ten Księżyc	141
Okno	141
Jeszcze...	142
W lesie	143
Granica	144

Jadwiga Wielgat-Hejduk

Słup (proza)	145
------------------------	-----

Piotr Wilczkowski

Łzy	147
Bytowanie	147
Kłosa i kłakole	147

Przyjaźń	148
Okienko	148

Filip Żółcik

Odplywa stary statek	150
Marsz śmierci	150
Prezydenci nie umierają	151
Kierunek Znana	152
Do pokolenia	152
Nie płacz nad grobem minionych dni	153
Bunt	154
Kosmonauta.	154